

Nr 265.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop 67 i pół.

Warszawa, 25 stycznia 1873 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie r. sr. 3.

TOM XI.

TREŚĆ NUMERU. Leon Kunicki (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa. —Przegląd polityki zagranicznej. —Kolonja Mettray, pod Zutphen w Hollandyi, skreślił A. Moldenhawer (z 2 drzeworytami).—Ostatnia chata (drzeworyt).—Warsztat wzorowy, z celem kształcenia młodzieży w rzemiośle.—Widoki z Karpat (drzeworyt).—Szachy.—Rebus. — Wystawa warszawskiego Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych (dokończenie). — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego, ze Lwowa. — Moritri, powieść w dwóch tomach, przez J. I. Kraszewskiego (dalszy ciąg). — Choroby woli, powieść hr. L. Tołstoja (d. c.).

Leon Kunicki.

Zmarły niedawno w murach naszego miasta Leon Kunicki, urodził się roku 1828 w nadbużnej okolicy Podlasia, w majątku Siedliszcze, dziedzicznym w jego rodzinie. Kurs nauk gimnazjalnych ukończył w Warszawie, czas jakiś urzędował w banku polskim, sposobiąc się do służby publicznej, ale nie wytrwał na tem polu i po kilku latach praktyki biurowej, powrócił na miejsce rodzinne, — do roli.

Podczas pobytu w Warszawie zawiązał bliższe stosunki z kółkami literackimi i artystycznymi, zajął się poznawaniem dziejów polskiego piśmiennictwa, wdał się w ówczesny (około r. 1850) ruch umysłowy i zapragnął być jedną z jego spreżyn.

Rozpoczął od formy powieściowej. — Dlaczego?... Oczywiście że pierwszą i najglówniejszą przyczyną była skłonność, która zwykle jest wskazówką przeznaczenia; ale Kunicki, gdyby i miał usposobienie do prac literackich innego rzędu, to brakło mu do nich należytego przygotowania. Już to w każdym razie bezpośrednio przejście z ławki gimnazjalnej do stolika literackiego niewiele wróżyć może o przyszłości literata, choćby ten obrał sobie najskromniejszą gałąź. Tak to jednak bywało za owych czasów, kiedy kraj tutejszy nie posiadał jeszcze wyższej instytucyi naukowej, któraby otwierała szersze horyzonty i ostrzegała o wielkich trudach a obowiązkach każdego umysłowego zawodu. Wiele też w owym czasie ukazywało się nazwisk na poczemionej bibule, które po krótkim zaświeceniu przeszły w bezpowrotne zapomnienie, lub dogorywają w mierzności, obezwładnione, gdy postęp oświaty okazał czego to potrzeba, ażeby głos publiczny nie był czczym brzęczeniem w powietrzu.

Kunicki, jako syn zamożnych rodziców, mógł być zastąpić sobie gdzieindziej brak wyższego ogniska kształcenia, lecz nie uczynił tego. Ztąd też,

kroki jego na drodze publicznych popisów były nieśmiałe, niepewne, a lubo wypłynął nad poziom, pod którym pograżyło się wielu ówczesnych jego współpracowników, ślady jednak jakie pozostawił po sobie głęboko nie zaryły literackiej niwy. Prawdą jest niezaprzeczoną, że w beletrystycznym zawodzie, na-

samego siebie, przy porównywaniu produkcji własnych z innymi, z potrzebą społeczną i z postępem czasu.

Gdyby Kunicki posiadał górujące zdolności twórcze, to byłby sobie intuicyjną po części dopełnił tego, czego mu nie dała praca nad sobą samym; lecz zdolności te jego pierwszorzędnymi nie były. Ograniczył się też w produkcjach swych na bardzo szczupłej sferze. Z niektórych, pierwszych zwłaszcza utworów, zdawało się że kroi na formalnego powieściopisarza, ale powieściopisarzem we właściwym znaczeniu nie był wcale. Powieść, jak ją pojmuje dzisiejsza krytyka, ogarnia cały świat psychiczny i społeczny, przy każdym najskromniejszym szczególe serca albo towarzyskich interesów, zawsze ma na względzie tę wielką całość, która zwie się ludzkością; przemawia zaś niepospolitemi sytuacyami, do wci p e m, obrazami, w których, jak w mikrokosmosie, zestrzelwają się cały świat moralny. O takie wysokie cele nie mógł kuścić się Kunicki, a ilekroć próbował ich, próby te nie wychodziły mu na pożytek. Nie spostrzegł jednakże snadź tego autor, gdyż do końca zawodu nie mógł z formą powieściową zerwać stanowczo.

Poza tą przecież formą było coś, co stanowiło istotną Kunickiego siłę, oryginalność jego indywidualną, i co też mocą tych przymiotów pozostanie trwałym dobytkiem w piśmiennictwie, — to szkic pojedynczy. Kunicki był istotnie w literaturze tem, czem był w rysunku: tylko szkicownikiem.

Żył on po większej części na wsi, w wielkiej i codzienniej zażyłości ze wszystkimi jej warstwami; a wiadomo że wieś nasza, w odleglejszych zwłaszcza zakątkach, do jakich należy i okolica w której urodził się i przebywał stale Kunicki, przedstawia wielką różnorodność. Szlachcic, półpanek, dorobkowiec, ksiądz, organista, chłop, arendarz i tym podobne jednostki płci obojga, są to postaci istniejące charakterystyczne, dlatego że już to kulturą, już zbiegiem innych okoliczności niezamieszane do pod-



Leon Kunicki. (Podług fotografii Brand'a w Warszawie).

uka w znaczeniu ścisłym jest rzeczą tylko pomociącą, a gruntem jej — ten żywy ogień duszy, który zwie się talentem, natchnieniem. Nauka jednak, rozszerzając kolo pojęć, do dojrzałości doprowadzając umysł, uobszernia i urozmaica jego zadania, a nade wszystko dozwala trafniej i sumiennie krytykować

Wielki talent, który zwie się talentem, natchnieniem. Nauka jednak, rozszerzając kolo pojęć, do dojrzałości doprowadzając umysł, uobszernia i urozmaica jego zadania, a nade wszystko dozwala trafniej i sumiennie krytykować

danie się działaniom niwelacji, jakiej ulegają ludzie żyjący w obszerniejszych ogniskach i wychowani pod jednym strzechulcem, — zachowują naddług coś co ich jednostkowo odróżnia. To odróżnienie towarzyszkie, w połączeniu jeszcze z pewnym indywidualnym charakterem moralnym, układa te postacie w typy, wyrażające miejscowość i czas. Typy te, jak rozradzają się w pewnych okolicznościach, tak w innych giną: są to meteory historyczne, które trzeba chwycić w lot, na gorąco, ażeby je zatrzymać w jakimkolwiek odbiciu, inaczej przejdą i śladu po nich nie zostanie.

Takie to typy chwycił z powodzeniem Kunicki, i te pozostawił też niezatarte na jego literackich płytach. Co piórem, tworzył też samo i na podobny sposób ołówkiem. Ilustrowane czasopisma, jak nasz *Tygodnik*, następnie *Kłosa*, a ostatnimi czasy i *Wienniec*, reprodukowały te jego rysunkowe prace, podając najodleglejszym zakątkom kraju oryginalności prowincji. W takich to typach spoczywa największa Kunickiego zasługa. Prosimy jednak, ażeby naszego tu porównania pióra z ołówkiem nie brano dosłownie. Nie ograniczamy zasługi Kunickiego do tych tylko typów które pozostawił w rysunku, z krótkim tekstem objaśniającym, albo z prostym tytułem. Rysunek stanowił jego odrębną pracę, bynajmniej nie jako dodatkowa ilustracja do artykułu.

Inną, osobną drogą szły typy jego literackie, których niezależnie od ołówka, utworzyła się spora gromadka. W liczbie tych typów, oprócz bezwzględnej charakterystyki miejscowej, mającej za przedmiot stan, urząd lub powołanie jakiegoś, znajdują się również pewne zbrocenia moralne, śmieszności, nawiąkania, aż do karykatury nawet. Nietylko zaś stoją one luźnie, z poświęceniem im osobnych rozdziałów, jak w *Obrazkach z mojego sąsiedztwa*, ale, i to po największej części, wplecione są w utwory zakroju powieściowego, które tyle też tylko mają ożywienia i wartości artystycznej, ile ze zgrupowania takich typowych figur zacierpnęły. Ażeby Kunickiego należycie ocenić, trzeba zadać sobie nieco pracy i w jego mieszaninie powieściowej odnaleźć właśnie te elementy typowe. W naszych przynajmniej wrażeniach z przeczytania utworów Kunickiego pozostało to, że nam nigdy nie chodziło o losy bohaterów powieściowych, ani o rozwiązanie jakiegoś niby intrygi, ale oczekiwaliśmy zawsze na jakiegoś pana Piotra lub Marcina, na jakiego oryginala w kapocie lub spódnicy, który nas istotnie prawdą i nowością swą postaci zajmował. W kręśleniu takich to postaci znać było trafne spostrzeżenie, doskonale obycie się z prototypem, pochwycenie strony jego właśnie charakterystycznej, — słowem studium z natury, nie z książki, nie z posłuchu, — i takie też studia mają wartość rzeczywistą. Do nich należy, przed innymi, obrazek p. t. *Diak*. Przy szczegółowym rozbiórce pojedynczych rzeczy, znalazłyby się do wytknięcia tu i owdzie jakieś usterek, słabości, powięszoność; ale koniec końców, całoki przysporzyła naszemu piśmiennictwu ziarno istotnego pożytku intelektualnego i artystycznego.

W tych pracach Kunicki nie wychylił się wprawdzie po za obręb swęj okolicy; wszystko co nam dał dobrego, odnosi się wyłącznie do stron nadbużnych kraju, do tego że tak powiem parafii. Umysł jego niezdolny był puścić się na szeroką arenę i wszechludzkie albo przynajmniej wszechkrajowe elementy wprowadzić do swęj pracowni. Tę jednak parafią swęj wyzyskał wszechstronnie; z każdej przejażdżki przynosił jakiś owoc, jakąś scenę *grotesque*, charakteryzującą życie miejscowe, jakąś figurę której niezał zająrzeć w oczy, bo swęj; a co niemała dla serca jego stanowi chlubę — to że we wszystkich jego sprawozdaniach, we wszystkich nawet sarkazmach i humoreskach, znać człowieka kochającego społeczność swę i szczerze pragnącego jej dobra.

Uczciwym-bo też i obywatelskim człowiekiem we wszystkich stosunkach swoich prywatnych i publicznych był Leon Kunicki. Wiedzą, powiada przyszłowie, sąsiedzi jak kto siedzi; byliśmy jego sąsiadami prz literackim stoliku i poznaliśmy go dobrze ze strony jego usposobień i czynów: toż to kolega nasz od zawiązku pisma naszego. Ta zacność jego charakteru odbijała się też na każdej stronie jego pism, zarówno jak w życiu.

Znekany śmiercią żony i dwojga dzieci, skolatany kłopotami domowymi, utracił zdrowie i po długiej walce z niemocą fizyczną, umarł w Warszawie dnia 8 stycznia 1773 roku, pozostawivszy w sieroctwie dziesięcioletniego syna.

K. Kaszewski.

Otrzymało dnia 10 (22) stycznia z St-Petersburga przez telegraf bolesną wiadomość o zgonie Jej Cesarskiej Wysokości Wielkiej Księżny Heleny Pawłówny.

We czwartek, o godzinie 10 i pół zrana, w katedrze prawosławnej, przed rozpoczęciem liturgii św. odprawione było nabożeństwo żałobne za Najdostojniejszą Zmarłą.

Jednocześnie nabożeństwa odprawiane były także i w innych cerkwiach prawosławnych i w świątyniach wszelkich wyznań.

(Dzien. Warsz.)

Kronika tygodniowa.

Przypominamy czytelnikom naszym, że prenumeratę na **Album Kopernika**, w ilości rs. 6 k. 75, lub talarów prusk. 6, przyjmować będziemy **już tylko do 1 lutego r. b.** (n. s.)

Przedpłatę na Album to złożyli w kanczaryze Tygodnika Ilustrowanego: p. p. R. Laudon student w Dorpacie; F. Bruszyński w Szurze; ks. Pyzalski w Karczewie; Amalia Górecka w Kijowie; K. Tannenbaum w Warszawie; E. Szpaczyńska w Warszawie; Jan Esman w Staricy; W. Gąsiorowski w Warszawie; Wład. Rittendorff w Warszawie; Ant. Tukalski w Łyszczach; księgarnia Ungra i Banarskiego egz. 4, dla p. p. A. Leśkiewicza, Heleny Krukowieckiej, O. Flecka, R. Biehlera. (Numer bieżący: 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85).

Przed trzema laty zawiązała się w Warszawie jedna z ważniejszych instytucyj ekonomicznych: kasa pożyczkowa przemysłowców warszawskich.

Instytucja ta jest, właściwie mówiąc, jednocześnie bankiem pożyczkowym i kasą oszczędności.

Aby zostać uczestnikiem kasy, potrzeba złożyć w niej rubli 50. Można wszakże pieniądze te składać częściowo, choćby po rublu miesięcznie. Od wkładek tych, jak obecnie, kasa płaci uczestnikom aż po dwanaście od sta procentu. Okoliczność ta powinna skłonić właścicieli małych kapitalików do umieszczania swych pieniędzy w kasie pożyczkowej, nigdzie bowiem nie dostaną oni większego procentu, przy zupełnej pewności kapitału. Kasy oszczędności płacą naprzykład tylko 4 od sta, najlepsze zaś papiery, w przypuszczeniu że je zbiorowo kilka osób nabędzie, nie dadzą także więcej jak 7 od sta.

Oprócz tych dogodności, uczestnicy mają prawo do pożyczek dosyć nawet wysokich, byleby pozyskali stosowne poręczenie. Od pożyczonych mniejszych kwot płaci się 1 od sta na miesiąc, od summ zaś znacznych po 9 i 8 od sta na rok. Pożyczający naprzykład 100 rubli, płaci rubla miesięcznie.

Zwrócić jeszcze trzeba uwagę na to, że pożyczki udzielają się nawet tym osobom, które nie wniosły jeszcze całkowitego wkładu, byleby już zaczęły go opłacać.

Ponieważ z samych wkładów 50 rublowych nie uzbierałby się dostateczny kapitał do rozpoczynania pomiędzy uczestników, kasa przyjmuje zatem i obce kapitały, na procent 6 od sta.

Oto mniej więcej zasady, na jakich działa kasa pożyczkowa przemysłowców warszawskich.

Korzyści jakie ona przynosi uczestnikom spr-

wiły, że po trzech latach istnienia instytucja ta liczy 2093 uczestników, podczas gdy w roku 1871 miała ich 1046, a w 1870 tylko 408.

Rozwój też ogólny kasy jest niesłychanie szybki. Tak naprzykład w ciągu roku 1870 pożyczki przeniosły zaledwie sumę 61,000 rubli, w r. 1871 przewyższyły 309,000, w ciągu zaś ubiegłego roku wyniosły przeszło 875,000 rubli.

Podczas trzyletniego istnienia kasy miano nieraz sposobność przekonania się o pewnych wadach jej ustawy. Dla ułożenia zatem projektu nowej, udołkowanej ustawy, uczestnicy kasy, na zgromadzeniu dorocznym, odbytym w niedzielę w sali resursy Obywatelskiej, wybrali z grona swego delegacyę, złożoną z pp. Grabowskiego Jana i Szlenkera Karola syna. Jeśli nowa ustawa uzyska zatwierdzenie władzy, można się będzie spodziewać większego jeszcze niż dotąd rozwoju kasy.

W interesie wszakże instytucji należałoby przede wszystkim jej cele, środki i zadania jaknajbardziej rozpowszechnić wśród publiczności nietylko wykształcenijszej, ale i między klasami rzemieślniczymi i robotnikami.

Idzie tu o to, żeby owe bijące w oczy każdego korzyści uczestnictwa w kasie przemysłowców warszawskich ktoś dobrze obznajmiony z jej działaniami zechciał opisać, w sposób jaknajprzystępniejszy i najprostszy. Broszurę taką trzeba by później rozrzuć między ogółem, a wtedy stowarzyszenie liczyłoby wkrótce dziesiątki tysięcy uczestników, jak na to istotnie zasługuje, i oddawałoby ważniejsze i większe jeszcze niż dziś usługi.

W zeszły wtorek byliśmy świadkami egzaminu wyższej klasy skrzypców w Instytucie muzycznym. Klasa to zawsze odznaczająca się wśród innych i najobfitsza w rzeczywiste talenty. Z więcej wyróżniających się uczniów wymienimy tu pp. Michalskiego, Barcewicza i Adamowskiego, z których znowu ostatni jest najbardziej obiecującym. Ma on dużo zapału i poczyna już panować nad instrumentem o tyle, że pozyskał pewną swobodę w wypowiedzeniu na nim tego co czuje. Sumienne i ciągłe a dobrze pokierowane studia, mogą spotęgować młodzieńcze jeszcze siły do wysokiego stopnia; zapał, pozostawiony samopas, mógłby, przeciwnie, skrzywić i zniszczyć niepospolite zdolności.

Warszawa oddawna zyskała sobie opinię dobroczynnej, i rzeczywiście: niechaj ktokolwiek odczwie się do jej miłosierdzia, byleby umiał wybrać stosowną chwilę, to pewnym być może pomyslnych skutków.

Najniepraktyczniejszą zapewne drogą osiągnięcia celu jest zbieranie dobrowolnych ofiar, a jednak jakież to summy przechodzą tym sposobem przez tutejsze instytucje dobroczynne i redakeye pism!

Jeśli ofiary zebrane być mają drogą zabawy na cel dobroczynny urządzonęj, dochód wówczas bywa jeszcze większy.

Ta pochopność Warszawian do ofiar pochodzi z rozmaitych powodów, między którymi grają główną rolę: dobre serce, chęć zabawy, zaufanie do naszych instytucyj dobroczynnych i... próżność, nieodstępna wada każdego społeczeństwa.

Zaufanie publiczności naszej, w ogóle mówiąc, dosć łatwo jest zyskać, zwłaszcza uciekając się do środków pobudzających zapał. Łatwiej jeszcze jednak zaufanie to można utracić, a wtedy sprawa już będzie przepadła na dobre.

Środkiem utrzymania raz pozyskanego zaufania i zyskiwania onego, jest przede wszystkim zacność celu, jasne jego wytknięcie i jawność postępowania.

Cele oświaty i wsparcia niedoli najwięcej zawsze zyskują u nas poparcia, więc jeśli występują kiedykolwiek razem, wówczas powodzenie ich z góry jest zapewnione.

Właśnie w ubiegającym tygodniu urządzoną została zabawa na podobnie zjednoczone cele.

Mówimy tu o poniedziałkowym balu w resursie Kupieckiej, danym na rzecz szkółki żeńskiej elementarnej nr. 14 przy ulicy Nowogrodzkiej.

Już na kilka tygodni przed balem niektóre z dam tutejszych zajmowały się niezmiernie gorliwie sprze-

daża biletów, obdarzając nimi najmniej nawet chętnych.

Ten i ów miał na pamięci, że zeszłoroczny bal na rzecz szkółki przyniósł prawdopodobnie około 1000 rubli, ale dotychczas nikt nie czytał sprawozdania z użycia tych pieniędzy. Inni dziwili się, dlaczego szkółka nr. 14 cieszy się takim zaufaniem i laską, skoro o jej trzynastu spółzawodniczkach mało kto słyszał nawet. Byli i tacy, co za pośrednictwem prasy żądali w tym względzie objaśnień.

Wątpliwości tych nikt nie usuwał; rzeczą więc jest naturalną, że ogół publiczności, zrażony takim lekceważeniem swych praw, nie przyjął udziału w balu, odbytym zresztą wśród niezbyt przyjaznych okoliczności, osób bowiem zebrano około 300.

Powiadano nam wprawdzie, że sprzedano biletów przeszło 1000, ale okoliczność ta bardziej jeszcze świadczyłaby o niechęci, jaką opiekunowie szkółki potrafili wnieść w publiczności.

W obec tego stanu rzeczy godzi się, jest obowiązkiem naszym, zapytać raz jeszcze najbliższy zarząd szkółki o szczegóły jej urzędzenia, o cele zamierzone i osiągnięte i o sprawozdanie z użycia funduszy.

Jeśli wieści obiegające w tym przedmiocie po świecie są czcząmi plotkami, to prasa, na zasadzie danych jej objaśnień, będzie mogła wystąpić z obroną instytucji, gromiąc potwarz.

Dziś, w braku sprawozdania i objaśnień, musimy się zachowywać biernie.

Gdyby jednak i w przyszłości zarząd szkółki trwał w dotychczasowym swym postępowaniu, prasa musiałaby przejść na stronę jego przeciwników, a wtedy wątpliwy, by szkółka na tym zyskała.

Czekamy zatem na owo sprawozdanie i spodziewamy się że oczekiwania nasze nie będą długim.

Wszędzie i zawsze znaleźć się musi pewna liczba ludzi moralnie upadłych, którzy nie widzą innego wyjścia ze swego położenia, jak samobójstwo. W wielkich miastach o ludzi takich łatwiej niż gdzieindziej, lubo w Warszawie dotychczas dość rzadko zdarzały się samobójstwa.

Wyjątkowym jakoś sposobem ubiegłe dwa tygodnie były świadkami kilkunastu jeden po drugim przypadków odebrania sobie życia.

Niepodobna przypuścić, żeby stan moralny mieszkańców Warszawy zmniejszył się tak nagle i w takim stopniu, jak barometr, który w tym tygodniu, mówiąc nawiasem, spadł niżej burzy, co mu się zdarza raz na lat kilka.

Należałoby raczej szukać wyjaśnienia w owój od niepamiętnych czasów panującej między ludźmi manii nasładowania, wyradzającej się zazwyczaj pod wpływem pewnego zbroczenia umysłowego. Przykłady tej manii liczne są w dziejach.

Nie same zresztą samobójstwa zapelnily kronikę kryminalną ubiegłych dwóch tygodni, zdarzyły się bowiem i dwa wypadki zabójstwa. Jeden z nich, mianowicie zamordowanie emerytki Petrykowskiej, nie przedstawia nic odrębnego od zwykłych zbrodni, popełnianych w chęci zysku. Drugi zato wiąże się ściśle z przesądami i niskim stopniem oświaty naszych klas uboższych. Wyrobnik Franciszek Kuran w przystępie zemsty zabił Maryannę Sochaczewską, pokatną lekarzkę, leczącą go oddawna, ale bezskutecznie.

Mało kto ma pojęcie, czym jest w rzeczywistości taka lekarzka, a trudniej jeszcze zebrać pewne dane o liczbie tych oszustek, utrzymujących się w Warszawie z wyludzenia pieniędzy od łatwowiernych.

Gdyby zresztą szło tylko o pieniądze, rzecz byłaby mniejszej jeszcze wagi, lecz iluż to ludzi wpada w najniebezpieczniejsze choroby, jedynie skutkiem użycia środków zalecanych przez te pokatne lekarzki.

Lekarzom szpitalnym nieobce są liczne i straszne szczegóły w tym względzie. Sprawa Kurana wprowadzi też zapewne na jaw niejedno zdarzenie, rozjaśniające nasze przypuszczenia o rozmiarach w jakich prowadzi się w Warszawie pokatne leczenie.

Z prawdziwą przyjemnością notujemy tu fakt, że redakcje *Gazety przemysłowo-rzemieślniczej* i *Opiekuna domowego* otrzymały już od właściwej władzy pozwolenie na urządzanie w sali teatralnej warszawskiego Towarzystwa dobroczynności co niedziela odczytów popularnych, za bardzo niską opłatą, bo wynoszącą tylko 5 kop. od osoby. Dochód z nich całkowity przeznaczony został na rzecz kasy pożyczkowej Towarzystwa dobroczynności. Odczyty te, jeśli tylko umiejętnie będą prowadzone i znajdą chętnych a zdolnych prelegentów, wiele bardzo ogółowi przynieść mogą korzyści. Życzymy im też z całego serca powodzenia.

W tych dniach dopiero nadeszła do Warszawy wiadomość o zaszłej jeszcze d. 7 stycznia r. b. śmierci *Kajetana Suffczyńskiego*, właściciela dóbr w gub. lubelskiej i zdolnego powieściopisarza, znanego pod pseudonimem *Ks. Bodzantowicza*. Zmarły był jedną z najbardziej charakterystycznych postaci w beletryście naszej. Obrazy z dawnych czasów, a zwłaszcza z drugiej połowy zeszłego stulecia, kreślił z niepospolitym talentem, żywo i barwnie, posługując się przytęm dokładną znajomością dziejów i darem bystrego wyprowadzania wniosków ze zdarzeń, na które w części sam jeszcze patrzył, lub których tradycya żywo mu się uprzytomniała. Pisał niewiele. Najobszerniejszą jego powieścią jest „Rodzina konfederatów, pan starosta warecki“, wydana r. 1856. Inne, drobniejsze prace zmarłego drukowała w różnych czasach Biblioteka warszawska. Postaramy się wkrótce o wydatną tę w piśmiennictwie tegoczesnym postaci szczegółowszą czytelnikom naszym podać wiadomość.

Przegląd polityki zagranicznej.

24 stycznia.

Pogrzeb Napoleona III odbył się w Chislehurst, w dniu 15 b. m. Według zapewnień dzienników angielskich, przeszło sześćdziesiąt tysięcy osób zebrało się dla przyjęcia udziału w tej ceremonii. Wspomniały karawan wyruszył z kaplicy o godzinie jedenastej, poprzedzony przez deputacje robotników francuzkich z Lille i Paryża. Za karawanem szedł z obnażoną głową książę cesarski, a za nim książęta z rodziny Bonapartów: Napoleon, Lucyan i Karol Muratowie i kilku innych krewnych zmarłego. Za rodziną cesarską postępowali byli dygnitarze drugiego cesarstwa. Cesarzowa Eugenia, z powodu choroby, nie brała osobiście udziału w pogrzebie. Prawie wszystkie wreszciedwory europejskie przywdziały kilkonastodniową żałobę, dla uczczenia pamięci zmarłego. Wkrótce zebrani w Chislehurst przywódcy bonapartystowscy rozjadą się każdy w swą stronę, a dziennikom prawdopodobnie nie tak prędko znów zdarzy się sposobność zajmowania się rodziną Napoleona III. Zachowanie się też ogółu narodu francuzkiego i ton prasy francuzkiej wykazują, że sprawa Bonapartów jeśli nie na zawsze, to na długi czas jest straconą. W dzisiejszej Francji dwa są tylko silne stronnictwa: republikanie, którzy dziś, bądź co bądź, trzymają ster władzy, i burboniści, którzy dotąd dzielili się na legitymistów i orleanistów, lecz obecnie, po śmierci Napoleona, złączyć się podobno usiłują w jedno silne stronnictwo monarchiczne. Groźna z pozoru interpelacya prawicy w sprawie p. Bourgoing, zakończyła się oświadczeniem rządu, iż nie zanieczywał nigdy interesów papieżkich, lecz obowiązany zachowywać z rządem włoskim stosunki przyjazne, zmuszonym był do przyjęcia dymisji p. Bourgoing i zamianowania na jego miejsce p. de Courcelles.

Nowy rok rozpoczął się w Hiszpanii zdwojoną zajadłością karlistów, którzy obecnie, nie zadowolając się psuciem dróg żelaznych i wybieraniem kontrubucyj, dopuszczają się wprost zabójstw na osobach podejrzanych przez nich o niesprzyjanie sprawie don Karlosa. Naturalnym następstwem tych okrucieństw jest odwet ze strony wojsk rządowych, które zmuszone są także do użycia energicznych środków przeciw niepoprawnym burzycielom. Rząd madrycki nie obawia się wprawdzie tego

ruchu, większość bowiem opinii publicznej oświadcza się za nim, zawsze jednak podkopuje on potęgę i pomysłność kraju.

Wykrycia dyplomatyczne ks. Grammont niemile są gabinetowi wiedeńskiemu, z ostatniej bowiem odpowiedzi p. de Grammont na artykuł hr. Beusta pokazało się, że były kanclerz rzeczywiście obiecywał Francji czynną pomoc przeciw Prusom. Sprawa ta jednak nie ma i nie może mieć dziś żadnej doniosłości politycznej, oprócz korzyści jaką przynosi bonapartystom, wykazując że rząd francuzki, gdy wypowiadał wojnę Prusom, nie był zupełnie bez przymierzy zagranicznych. W tej chwili zresztą gabinet wiedeński ma ważniejszą na głowie sprawę, mianowicie wprowadzenie w życie prawa o wyborach bezpośrednich, które grozi mu stanowczą opozycją wszystkich Słowian cislitawskich, nie wyłączając i Galicyan. W obec takiego stanu rzeczy gabinet waha się i dotąd nie przedstawił projektu w radzie państwa. Zapewniają że p. Auersperg wszedł w układy z delegacją galicyjską i stara się za pomocą obietnic i ustępstw zatrzymać ją w radzie. Szczegóły tych układów dotąd są nieznane, wiadomo tylko iż centraliści przyrzekają między innymi ustanowienie osobnego ministra do spraw galicyjskich i powiększenie liczby posłów, byleby tylko delegacya nie zerwała z rządem i nie opuściła rady państwa.

W Potsdamie dnia 19 b. m., przy odsłonięciu chorągwi i sztandarów francuzkich, zdobytych w ostatniej wojnie przez armią niemiecką, zauważano powszechnie nieobecność księcia Bismarcka. Naza jutrz rozpuszczono wieść, że p. Bismarek podał się do dymisji z posady konclerza i ministra spraw zagranicznych, czemu jednak telegram berliński z d. 21 b. m. stanowczo zaprzecza. „Daily Telegraph“ tak szeroko rozpisal się o przymierzu Niemiec, Włoch, Austrii i Turcji, w przedmiocie kwestyi tureckiej, iż rząd niemiecki uważał również za stosowne zaprzeczyć i tym bańsiom. (W. T. B. Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. Times.)

Pan F. Bruszyński w Surze złożył na ręce nasze na pomnik s. p. Moniuszki rs. 3 k. 25, które przesłałiśmy Dyrekcji rządowej teatrów warszawskich.

KSIEGARNIA

I SKŁAD NOT MUZYCZNYCH UNGRA I BANARSKIEGO,

przy ulicy Krakowskiej-przedmieście Nr 443 (71), naprzeciw resursy Obywatelskiej,

otrzymała następujące nowości:

Pamiętniki M. Ogińskiego. O Polsce i Polakach		
III-ci tom	rs.	1 k. 80
Kętrzyński. O Mazurach	„	„ 45
Brodziński. Pisma tom II, w oprawie	„	1 „ 40
Celiński J. Studya astronomiczne	„	1 „ 35
Ziemia. Pozytywizm i jego wyznawcy	„	„ 75
Mikołaj Kopernik i jego układ świata	„	„ 60
Gollan Kazania. T. I-szy	„	„ 75
Gumplowicz. Konfederacya barska	„	1 „ 35
Klejnoty poezyi polskiej	„	1 „ 20
Schnorr's Bibel, w pięknej oprawie w szagr	„	18 „ —
Auerbach. Barfüssele w oprawie	„	5 „ 40
Herman i Dorota w oprawie	„	2 „ —
Deutsche Kunst in Bild und Lied w oprawie	„	4 „ —
Gavarni Oeuvres nouvelles, Par—ci, par—la, et physionomies parisiennes 100 sujets, w oprawie w szagr	„	17 „ 50

Wszelkich dzieł tak krajowych, jakoteż zagranicznych, oraz not muzycznych, przez gazety lub czyjekolwiek katalogi ogłaszanych, księgarnia powyższa dostarcza. Wypisujący jednorazowo dzieł za rs. 5, kosztów przesyłki nie ponoszą; przy mniejszych zamówieniach dołączają 10 kop. do każdego rubla na koszt przesyłki. Wyłączają się od bezpłatnej przesyłki książki w cenie niższe, szkolne, na prenumeratę wychodzące i kalendarze.

Kolonia Mettray, pod Zütphen w Hollandyi.

Skreślił

A. Moldenhawer.

W powrocie z Norderney, gdzie przebywałem w kąpielach morskich, korzystając z bliskości Hol-

mem z historii owego Mettray, był nieledwie jego założycielem i główną sprężyną jego bytu. Korespondencya moja nie zastała pana Suringara w Mettray, gdyż obecnie, jako prezes komitetu kolonii, przebywa w Amsterdamie, z kąd też odebrałem wkrótce serdeczną i pełną życzliwości odpowiedź znakomitego męża, wraz z uprzejmym zaproszeniem.

zówkami i poważnemi zaleceniami, pusiłem się z Leer na Salzbergen do Zütphen. Nie będę tu opisywał ani krótkiej zresztą, bo zaledwie kilka godzin trwającej drogi, ani samego Zütphen, bo to co zamierzam mówić o kolonii, niemalo już zajmie mi miejsca. Wspomnę tylko, że był nader wdzięczny panu Suringar za wskazanie mi hotelu, z którego



Widok ogólny kolonii Mettray w Hollandyi.

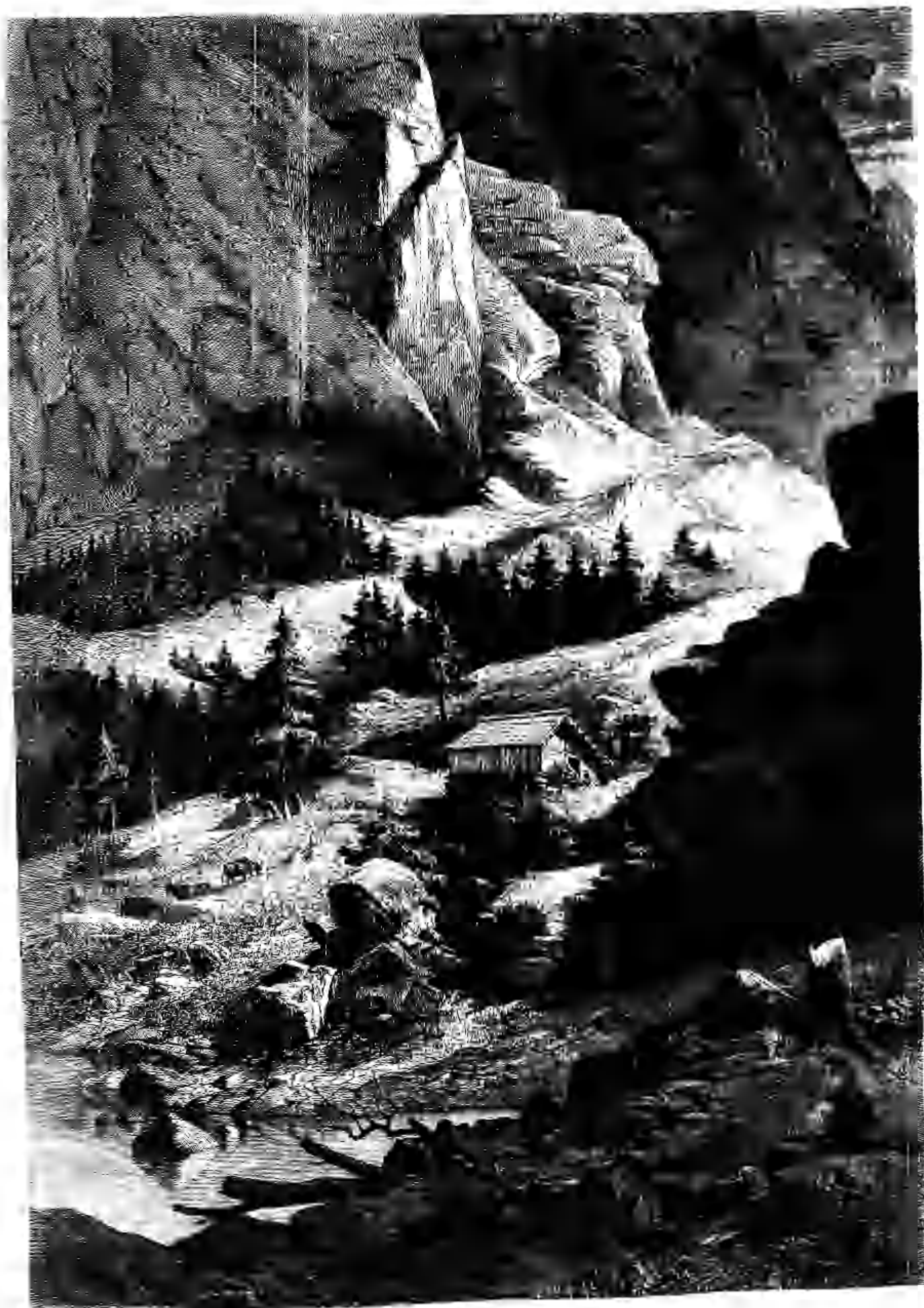


Sypialnia w Mettray, pod Tours

landyi, postanowiłem zwiedzić słynną kolonią rolną, znaną pod nazwą niderlandzkiego Mettray. Że zas potrzebowałem kilku objaśnień i pragnąłem wywie- dzić się o najprostszej drodze do tego wzorowego zakładu, chociaż więc osobiście nieznanym, napisałem list do pana Suringara, który, jak to mi było wiado-

abym do niego pospieszył. W liście tym wskazywa- mi on drogę do Zütphen, w bliskości którego to miasta leży kolonia, a nadto ofiarowywał mi wszel- kie ułatwienia, tak przy zwiedzaniu Mettray, jak i innych podobnych instytucyj, których Hollandya sto- sunkowo liczy nader wiele. Opatrzony przeto wska-

włascicielem mogłem przynajmniej porozumieć się po francuzku i po niemiecku, co widocznie w Hol- landyi nie jest tak łatwym. Uprzejmy mój gospodarz najął mi powóz, dawszy stosowne instrukcyje woźnicy, bez których, nie wiem doprawdy, jakbym sobie poradził. Co do samej kolonii, to zanim przy-



Ostatnia chata. (Z „Obrazów styryjskich“ K. Binzera).

stąpię do jej opisu i wrażeń jakich doznałem, niech mi wolno będzie podać historią jej powstania, co nie pozostanie dla nas bez pożytku i interesu, zwłaszcza w chwili, gdy mamy przystąpić do zaprowadzenia podobnej instytucji u siebie.

Pan Suringar, jak to wyżej nadmienilem, jest jedynym z ludzi, którym kolonia przedewszystkiem zawdzięcza swoje założenie; w istocie on to w Holandyi swoim współobywatelom podał pierwszą podniostą i filantropijną myśl wzniesienia tego tyle pożytecznego zakładu. Zwiędziwszy kilkakrotnie francuską kolonią Mettray pod Tours, obejrzawszy ją szczegółowo w jej najdrobniejszych urządzeniach, zapoznawszy się z jej celami i dążeniami—powziął gorącą chęć przysłużenia się własnemu krajowi częścią podobną. Już w 1847 r., w mowie jaką miał w Amsterdanie, składając sprawozdanie ze swych podróży, wypowiedział te proste, a jednak zachęcające słowa: „Jeżeli znajdą się między wami dobroczynni, to niech tylko wezmą się do dzieła, niech siły swe zjednoczą, a prędzej niż w 3 lub 4 lata będziemy mieli w Niderlandach własne Mettray.“ Mowa ta została wydrukowana, z dołączeniem do niej dokładnego opisu kolonii mettrayskiej (francuskiej) przez p. von Baumhauer, i cudowne wywołała skutki. Szczęśliwym trafem wpadła ona w ręce pana Schüllera z Amsterdamu i głębokie nań wywarła wrażenie. Dnia 11 października 1847 r. pisał on już do Suringara: „Przeświadczony o bezpośrednim a olbrzymim pożytku dla naszego kraju z podobnego zakładu jak Mettray we Francyi, zdecydowałem się działalność swoją połączyć z pańską. Ofiaruję więc panu część moich dóbr Hegeberg, dla urzeczywistnienia pańskiego przedsięwzięcia, i stawiam tylko warunek, abym własność swoją odebrał, w razie niedojścia projektu do skutku. Proszę o tajemnicę, mam jednak nadzieję, że tym sposobem przyczynię się do powodzenia projektu, który dla kraju naszego stanie się zaszczytem, a dla potrzebujących pomocy mieszkańców dobrodziejstwem.“ Niezadługo potem w ustnej rozmowie Schüller zrobił znowu Suringarowi propozycję, czyby w miejsce ziemi, jeśli ta nie okaże się odpowiednią, nie zechciał przyjąć jej wartości w gotowych pieniądzech. W ostatnim tym wypadku szlachetny ofiarodawca objawił życzenie, aby kolonia mogła być założoną w innej prowincyi (Geldryi) i wyłącznie dla dzieci protestanckiego wyznania. Schüller oznajmił nadto, że niebardzo życzyłby sobie aby do zakładu przyjmowano takie jedynie dzieci (jak to ma miejsce we francuskiej Mettray), które sąd uwolnił od odpowiedzialności, jako działające bez rozważania, to jest bez przeświadczenia i pojęcia o bezprawności swego czynu, lub, co gorzej, ukarać zamierzył jako występne, ale raczej aby kolonia przeznaczoną była przedewszystkiem dla tych, którym nieszczęśliwie ich położenie zagraża widocznym niebezpieczeństwem, tak że niemal napewno o nich twierdzić można, iż zostawione samopas, popadną w występki. Suringar dłużej niż rok rozważał owe propozycje, będąc zdania, że tyle ważne projekty potrzebowały głębokiego zastanowienia. Rozumię się że jakkolwiek znakomitym był i wspaniałym dar Schüllera, nie wystarczał on jednak na założenie tak kosztownego zakładu, zwłaszcza że niedość było go ufundować, ale nadto należało w początku zaraz pomysłu i o jego utrzymaniu w przyszłości. Burzliwy wreszcie rok 1848 nie sprzyjał wykonaniu powziętych planów. Długi jednakże rozmyśl nie był bynajmniej bezowocnym. Zawezwano do rady wielu doświadczonych mężów, rozpisano liczne listy, już to by w przybliżeniu obrachować możliwe nakłady, już też by obmyśleć najprostsze środki wykonania powziętych projektów. Rozsądek nakazywał zaczynać od małego, jednakże tak, aby to czego nie chciano ryzykować na wielką skalę, mogło z czasem szersze przybrać rozmiary. Jedno tylko przyjęto stanowczo, to jest: *nie porzucić podniesionej myśli, popierać przedsięwzięcie energicznie, niezmordowanie, choćby nawet początkowo nie miało ono pomyślnym uwieńczyć skutkiem.*

Tymczasem na wiosnę 1849 r. Schüller ponowił swoje propozycje, domagając się stanowczej na nie odpowiedzi. Po dojrzałej już teraz rozważce, zażądano odeń gotówki. Jakoż mąż zacny ale i praktyczny, po ocenieniu ofiarowanego pierwotnie gruntu,

wartość jego, 16,000 florenów hollenderskich wynoszącą, zobowiązał się natychmiast wypłacić, skoro tylko będzie miał pewność, iż zakład przyjdzie do skutku. Piękna ta i hojna ofiara dodała odwagi Suringarowi. Nie szczędził on zabiegów, listów, prośb, cyrkularzy, aby zamiary swe dać poznać współobywatelom i rozgłosić po kraju. Obznajmiwszy temi sposobami ogół ze sprawą, zawezwał go do pomocy, rozrzuciwszy jeszcze opisy francuskiego Mettray po całej Holandyi, aby tém większy obudzić interes dla projektowanej instytucji, pozyskać sympatye, zachęcić i rozgrzać umysły. W dwóch pierwszych cyrkularzach z r. 1849 nakręślał on nader nieznaczące ramy dla swoich planów, bo mówił o założeniu instytutu tylko na 50 chłopców. W trzecim cyrkularzu z 1 stycznia 1850 zwracał uwagę że jeśli jeden człowiek zrobił już tyle co Schüller, to więcej chętnych uzupełni niewątpliwie to, co jeszcze niezbędnego niedostaje; zamiarem zaś Suringara, jaki publicznie objawił, było nie zabić się do rzeczy, dopóki nie będzie miał, oprócz obiecanego daru Schüllera, przynajmniej 20,000 do 25,000 florenów. Oprócz tej stanowczej kwestyi finansowej, samo wypełnienie warunków, a raczej życzeń Schüllera niemałe dla Suringara przedstawiało trudności. Najważniejszą było wynalezienie odpowiedniej miejscowości w prowincyi Geldryi; usunął ją jednak p. Schimmelpfenninck, który w Rysselt, w gminie Gorsel, w bliskości Zütphen, wyszukał odpowiedni grunt, jaki w ilości 100 przeszło morgów wraz z budowlami nabytym został ostatecznie w sierpniu 1850 r. na własność Towarzystwa, noszącego nazwę Stowarzyszenia Mettray niderlandzkiego. Drugim życzeniem Schüllera było, aby imię jego zostało w tajemnicy; żądanie to jednak zacnego i szlachetnego męża nie zostało spełnionem. Tymczasem jednocześnie z nabyciem ziemi, Schüller wypłacił o obiecanie 16,000 florenów, i to już bez wszelkich zastrzeżeń, to jest zrzekając się ich zwrotu, nawet na wypadek gdyby nieudaly się powzięte plany. Tymczasem komitet, złożony z pp. Suringara, Schimmelpfennincka i kilku innych zajął się gorąco i serdecznie kwestyami mającemi związek z przedsięwzięciem. Zorganizował on dobrowolne zapisy, a dary w pieniądzech i naturze zaczęły zewsząd obficie napływać. Przemysłowy kraik nie pozostał głuchym na głos ludzkości, owszem, odpowiedział żywym nań echem, przyczem i królewska rodzina wyprzedzić się nie dała. Król Wilhelm III ofiarował 3500, a królowa wdowa i książę Fryderyk każde po 1500 florenów, na założenie czterech pierwszych domków mających pod nazwą Wilhelma II, Maurycego, Aleksandra i Fryderyka, uczcić i uwiecznić pamięć zmarłych tych, ale drogich panującej rodzinie osób.

Dnia 21 lipca 1851 roku, w obecności komisarzy królewskich, robotników i licznego zgromadzenia protektorów nowej instytucji, położono pierwszy węgielny jej kamień, pod budowę centralnego domu szkoły i czterech domków. Przy tej okazji Suringar wypowiedział mowę, z której parę wybitniejszych ustępów przytaczam: „Bywają, zaczęł on, uroczyste i wzruszające chwile w ludzkim życiu, chwile w których cieszymy się że jesteśmy ludźmi, chociaż czujemy całą swą ułomność; chwile w których poszanowanie dla ludzkości krzepi się, uszlachetnia, rozléwa i utrwała. Jedną z podobnych chwil jest ta jaka nas dziś tu zgromadza, przy tym obchodzie uroczystego aktu. Mamy założyć fundamenty nowego budynku, którego przeznaczeniem będzie przyjęcie w swe mury biędnych i zaniedbanych dzieci. A czego mają się one tu wyuczyć? Oto jak stać się ludźmi, chrześcianami. Mają je tu przyzwyczać do porządku i uległości, do pracowitości i moralności; mają dać im tu poznać i pokochać wielkie prawdy naszej Boskiej religii. A czyż to nie jest dobra budowla, dobry węgielny kamień? Czteryście sześćdziesięciu naszych współobywateli podpisało się, w części po 50, w części po 100, a nawet po 500 fl.; innych 1,200 zobowiązało się płacić rocznie po 5 fl., aby sprawie zapewnić stałą pomoc i skutek, tak że grunt, mieszkanie, krótko mówiąc wszystko, jest owocem zacnych darów, wszystko stanowi własność niewzruszoną naszego Towarzystwa. Prócz tego dwieście osób odkładało codziennie po dwa centy dla naszego przedsięwzięcia, a żaden dar nie jest do pogar-

dzenia, najmniejsze nawet są pożądane. Bóg patrzy na chęci, i cent dany w dobrym, pożytecznym celu, daleko lepiej jest użytym, niż ofiarowany próżniaczemu żebrakowi. Cześć więc niosącym choć najdrobniejsze ofiary!“

Piękny i uroczysty dzień ten musiał się wyrzeć w pamięci obecnych na długo. Tymczasem przykład jaki królewska rodzina dała w uczczeniu nowym sposobem pamięci ukochanych zmarłych swych członków, wywołał wkrótce naśladowców. P. p. Walcart z Amsterdamu i Boelens z Leeuwarden ofiarowali każdy po 1,500 fl. na wystawienie dwóch domków, jednego z okazji 25 letniej rocznicy małżeństwa, drugiego na pamiątkę zmarłego jedynego syna. Kierownictwo pracami powierzono p. p. Rose i Heuvelmann (z których pierwszy za pożyteczne swe a bezinteresowne dla zakładu prace obdarzony został nawet dyplomem członka-współzałożyciela). Miano nadzieję, że w końcu czerwca dojdzie się do celu; nieprzewidziane jednak przeszkody ostateczne otwarcie kolonii przedłużyły aż do stycznia 1855 r. Podczas tej jednak przymusowej zwłoki, nie pozostawano w bezczynności, owszem, śledzono i poszukiwano z całą troskliwością osoby, któraby była godną i odpowiednią do objęcia tyle ciężkich, a jednak tak ważnych obowiązków dyrektora kolonii. Szczęśliwym trafem wybór padł na J. W. Schlimmer'a, od lat 25 piastującego trudne obowiązki nadzorca w więzieniu poprawczym dla nieletnich w Rotterdamie. Jakoż doświadczenie późniejszych lat dostarczyło jawnego dowodu, że urzędnik ten stoi na wysokości swego powołania i pojmuje swą nową a zaszczytną misję. Przez dobrego jednak wybór dyrektora, lubo najważniejszy i najtrudniejszy, nie usunięto jeszcze przystanków trudności, nie ukończono nawet prac przygotowawczych. Trzeba było obmyśleć systemat działania, trzeba było ułożyć regulamin dla kolonii. Żeby najpraktyczniejszą w tej mierze wynaleźć drogę i uniknąć niebezpiecznych a bardzo kosztownych w podobnych razach omyłek, postanowiono skorzystać z doświadczeń zebranych za granicą. W tym więc celu pan Suringar udał się do Hamburga, gdzie zwiędził w najdrobniejszych szczegółach słynny „Rauhes Haus“ pod Horn. Tu przebywszy czas jakiś, będąc obecnym przy nauce, modlitwie i pracy dzieci, przedstawił na piśmie dyrektorowi zwiędzanego zakładu, panu v. Wichern, następujące mu się kwestye w formie pytań, z prośbą o wyjaśnienie także drogą piśmienną. Pan v. Wichern nietylko że żądaniom tym zadość uczynił, ale z uprzedającą uśmiechnością udzielił Suringarowi wszelkich wskazówek, obdarzył go stosownymi książkami, rocznikami i sprawozdaniami, objawiwszy że będzie gotów zawsze i na każde zawołanie pośpieszyć z wszelką pomocą, jakiej tylko odeń zapotrzebować może. W dalszym ciągu Suringar zwiędził Belgią, Francją, Anglią, zatrzymał się w Ruysselede, w przytulku Mesnil-Saint-Firmin, w Asile de Fénélon, w Mettray, w Ostwald, w Neuhof pod Strasburgiem, w Londynie, gdzie wszedł w stosunki ze stowarzyszeniem filantropijnem, i w Paryżu, gdzie studyował zakład św. Mikołaja. Starannie i umiejętnie zbierane wskazówki, jakich wszędzie z największą chęcią i skwapliwością dostarczano Suringarowi, dały mu możność opracowania planu nader praktycznego urządzenia kolonii, którą niderlandzkim Mettray nazwać postanowiono. Projekt wypracowany i zbogacony osobistemi spostrzeżeniami Suringara, przetłumaczony na angielski, francuski i niemiecki język, w licznych egzemplarzach rozrzucony po kraju, rozesłany głównie został ludziom kompetentnym do oceny. Następnym tego było, że nawet za granicą, po bliższym z nim zapoznaniu się, znalazł on nietylko uznanie, ale nadto wywołał naśladownictwo. I tak w Prusach i w innych częściach Niemiec zaczęto się krzątać około zaprowadzenia podobnych kolonii, jak francuskie i niderlandzkie Mettray. (*)

W dniu otwarcia kolonii znajdowało się już w niej 21 chłopców. Proroce, jakby natchnione głęboką wiarą w świętość podjętej sprawy, słowa zacnego Suringara, sprawdziły się: w cztery lata po pierwszym rzuceniu myśli nowej instytucji, rozkwi-

(*) Tym to sposobem właśnie powstała kolonia w Salzmünde pod Hallą, przez p. Bolze założona.

ła ona na hollenderskiej ziemi. Cztery te lata oczekiwań i prac przygotowawczych, były korzystną nader zwłoką dla instytucji, w zaprowadzeniu której rozważli ogleńności nigdy nie może być zawiele. Przykład ten niech będzie zarazem najskuteczniejszym najwymowniejszym uspokojeniem i wytłumaczeniem dla tych, którzy sarkają u nas na przewlekłość działań Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych.

Nie będę opisywał pięknego i uroczystego aktu otwarcia kolonii, bo i tak jeszcze o bieżących i nader ciekawych przyjdzie mi mówić przedmiotach; przechodzę też najpierw do opisu kolonii.

Przy wjeździe do Mettray uderzył mnie z lewej strony drogi duży budynek, stanowiący folwarczne jego zabudowanie. Jednym rzutem oka objąłem stajnie, obory, rodzaj stodół, ujrzałem gromadkę chłopców naprawiających wozy, czyszczących stajnie i przewracających nawóz. O kilkanaście kroków dalej miałem już przed sobą samą kolonię, otoczoną drewnianymi sztachetami ładnie malowanymi, z dwoma rzędami przeciwległych, jednej wielkości i jednej formy, piętrowych, kształtnych domków, nader schludnie i skromnie, a jednak wdzięcznie i powabnie wyglądających, z kościółkiem i domem widocznie dyrektora, oraz centralnymi zabudowaniami, nieco do środka posuniętymi, otoczoną z trzech stron zielenią ogrodów, leżących po za całą kolonię. U samego wjazdu w bramę kolonii, spotkał nas chłopczek pełniący w tym dniu obowiązki odźwiernego, a dowiedziawszy się o celu mego przybycia, zawezwał jednego ze swoich towarzyszy i oddawszy mi jego przewodnictwo, polecił doprowadzić do inspektora, pana Schlimmer'a.

Zastaliśmy go właśnie w chwili, gdy chłopców rozdzielal na gromadki do rozmaitych zajęć i oddawał pod dozór urzędników i rzemieślników. Przyszliśmy listownie przez Suringara o moim przybyciu, powitał mnie nader życzliwie, a dowiedziawszy się że mam niewiele czasu, po krótkiej rozmowie w języku niemieckim, porucił mi jednemu z urzędników, mówiącemu dość biegle po francuzku, który zwykle dla cudzoziemców zwiędzających zakład służy za przewodnika, konie zaś odesłał na folwark; sam wreszcie udał się do swoich zwykłych zatrudnień, a nadto zajął się wyszukaniem książek i sprawozdań o kolonii oraz jej planów, które Suringar wydać mi polecił.

Tymczasem z przewodnikiem swoim, bardzo ujemnym człowiekiem, rozpocząłem przegląd kolonii w najdrobniejszych jej szczegółach. Zwiędziliśmy najpierw kilka domków. Na dole znajdują się sala jadalna z umywalką, na piętrze sypialnie. W sypialniach, nie tak jak w Mettray francuzkiem, gdzie dzieci sypiają w hamakach, — używają łóżek żelaznych, które jednak, jak zauważyłem, zbyt blisko stoją jedne od drugich. Posłanie znalazłem czyste i odpowiednie. Każdy domek ma prócz tego mieszkanie dla swego przełożonego (od dwóch lat zniesiono tu ojców rodzin, z powodu olbrzymiej trudności wynalezienia odpowiednich ludzi na to tyle ważne, mozolne i trudne stanowisko). W niektórych domkach spotykałem chłopców zajętych zamiataniem i czyszczeniem to podłóg, to umywalki i naczyn, które każdej rodzinie służą do obiadu, śniadania i wiecerzy. Jadalnie używane być mogą także do nauki; mają też na półkach podręczne książki, a na ścianach mapy i tablice. Z domków przeszedłem do warsztatów szewskich, krawieckich, stolarskich i kowalskich, w których oglądałem prace dzieci, wykonywane pod dozorem właściwych majstrów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Warsztat wzorowy, z celem kształcenia młodzieży w rzemiośle.

Niedawno jeszcze prasa nasza rozpisywała się dość obszernie o potrzebie zakładania szkół przemysłowych, technicznych. Podobno nawet poczyniono pewne na tej drodze starania. Ile w tym jest prawdy — nie wiem, choć wiem że u nas na urzeczywistnienie każdego dobrego projektu potrzeba zazwyczaj bardzo długo czekać, a nawet można się go i

niedoczekać — co bynajmniej do rzadkości nie należy. Oczekując jednak na rzeczy obiecaną, nie zawodzi zwracać także uwagę i na to co się urzeczywistnia, pomnażać że lepszy wróbel w rękę, niżeli jakiś tam większy ptak na sęku.

Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza jeszcze w roku zeszłym doniosła, że pan S. Gaszczyński, tutejszy majster stolarski, założył warsztat wzorowy, dla kształcenia młodzieży w rzemiośle stolarskim. Doniesienia tego, oprócz Kuryera codziennego i Opiekuna domowego, żadne pismo nie podniosło, i rzecz dla nas bardzo ważna, poszła sobie w zapomnienie. Próbowuję przeto tę sprawę nieco wyjaśnić.

Od czasu *Krewnych Korzeniowskiego*, niejednokrotnie rozpisywano się u nas o wszelkich dolegliwościach, jakie uczeń rzemieślniczy, zwany powszechnie terminatorem, przechodzić musi, zanim dorośnie do patentu na czeladnika. Skarżono się że młody chłopiec skazany jest na wysługiwanie się czeladnikom, pani majstrowej, dzieciom państwa majstrostwa i t. d.; że i majster i czeladnik obchodzą się z nim niebardzo po ojcowsku, a nawet i niebardzo po ludzku; że terminatorzy mało czego się wyuczą, będąc prawie ciągle używani na posyłki; że sam majster i czeladnicy, rutynicznie wyrobieni, nie mogą dać mu dokładnego w fachu wykształcenia; że lata nauki są zbyt długie; że nakoniec uczniowie, przestając z mało wykształconymi i brutalnymi robotnikami, sami w końcu stają się takimi i nabierają nieprzyzwoitych narowów, a jeszcze nieprzyzwoitszego zaniłowania w hulankach.

Wszystko to, niestety! choć może cokolwiek zaskrawo ubarwione, było prawdą i jest nią nawet dotąd. Pozachodziły już wprawdzie pewne zmiany, porobiono gdzieś wylomy w murze odwiecznych zwyczajów — ale większość pozostała prawie niewzruszoną i trzyma się dawnej praktyki, nietylko ze złego serca, ile raczej z nawyknięcia, które staje się często niemal drugą naturą. Złe zatem jakie było trwa ciągle, a ztąd nie dziwnego, że ludność wykształcona z niedowierzaniem patrzy na środki wychowawcze praktykowane po warsztatach, i chociaż wielu radzioby synów kształcić w zawodzie rzemieślniczym, niejedni atoli lękają się, czy szkoła która ma zapewnić chleb jego dziecku, nie stanie się jednocześnie dla niego szkołą zepsucia.

Gdyby istniały u nas szkoły techniczne, możnaby w części zaradzić złemu. Powiadam jednak w części, gdyż dobry rzemieślnik, oprócz szkoły technicznej, musi przejść koniecznie i szkołę warsztatową, praktyczną. Gdzie zaś nie ma szkół technicznych, jak to właśnie dzieje się u nas — tam szkoła praktyczna, warsztatowa nabiera jeszcze większego znaczenia i staje się niemal jedynym zakładem kształcącym w zawodzie rzemieślniczym.

Pan Gaszczyński podług następnego planu urządził swój warsztat wzorowy. Przedewszystkiem przyjmuje młodzież mającą już 15 lat skończonych i która przebyła najmniej 4 klasy w zakładach średnich naukowych, to jest w gimnazyach lub progimnazyach. W szesnastym bowiem roku życia ma się już siły odpowiednio do pracy fizycznej i powoli zaprawić się do niej można, bez uszczerbku zdrowia. Po ukończeniu zaś klas czterech, młodzież jest już o tyle wykształconą, że może z łatwością i teoretycznie obznajmiać się z rzemiosem.

Dla tym gruntowniejszego jeszcze wykształcenia uczniów stolarskich, p. Gaszczyński skracą w swym warsztacie czas pracy, daje im pod rękę bibliotekę złożoną z dzieł technicznych, ekonomicznych i tym podobnych i specjalnie kształci ich w rysunkach, niezbędnych dla każdego rękodzielnika, a szczególnie dla stolarza.

Warsztat jest zupełnie oddzielony od zwykłych warsztatów, gdzie pracuje czeladź rzemieślnicza. Uczniowie zatem, nie mając styczności z ludźmi zepsutymi, niemoralnymi, nie będą mieli na widoku zdrożonych przykładów, a tym samym i zgnębny wpływ złego na nich nie oddziaływał. W warsztacie bardzo wiele zależy od czeladzi. Majster, jeżeli chce, może poradzić sobie z uczniami; ale nad czeladzią jego władza ustaje, zwłaszcza jeżeli ma dużo zamówień, a robotnika brak się uczuwa, jak to np. ma miejsce obecnie. Cała zaś prawie masa rozmaitych śmieśnych i szkodliwych zwyczajów wychodzi od czeladników. Oni to tworzą gospody, wyzwalają na

czeladników, oddzielnie od majstrów, nakładają kary na wyzwalającą się młodzież i wynajdują najrozmaitsze powody, aby tylko wódka i piwo stanąć mogły na stole. Wyzwolenie więc młodzieży rzemieślniczej od wpływu czeladzi, najwięcej przyczynić się może do wyrobienia z terminatorów porządných i wykształconých czeladników.

Do warsztatu wzorowego przyjmuje się uczniów na naukę na lat 2 do 3. Pan G. utrzymuje, iż czas ten aż nadto jest dostateczny do wykształcenia młodzieży w rzemiośle stolarskim, lubo obecnie czas terminu liczy się od 4 do 5 lat. Rozumię się, że dawniej i ten czas był niewystarczający, gdyż terminator musiał spełniać obowiązki stróża, niani, kucharki, parobka, posłańca i t. d., na prawdziwą zatem naukę stolarstwa niewiele mu czasu pozostawało.

Do warsztatu p. G. mogą uczęszczać uczniowie stali i przychodni. Przychodni mogą mieszkać i stolarować się u rodziców; stali będą mieli wspólne, przyzwoicie urządzone mieszkanie u majstra, konieczną usługę i rodzicielską opiekę. „Słowem, pisze p. G., zakład taki uważam za stosowne urządzenie w ten sposób, aby uczący się, oprócz sumiennych wykładów nauki rzemiosła, traktowani byli przyzwoicie, do czego w domu rodzicielskim i przez czas pobytu w szkołach przywykli. Niechaj im się zdaje, że to dalszy ciąg wykładów szkolnych, opartych na praktyce. A że stolarstwo jest podstawą w technice i każdy chcący się kształcić w zakresie mechaniczno-technicznym, koniecznie musi być obeznany z tym rzemiosłem, spodziewam się przeto, że otwarcie warsztatu stolarskiego na wyższej przytoczonych warunkach, niemale może przynieść dla ogółu korzyści.“

I w istocie, ogół odniesie korzyści z takiego zakładu, jeżeli tylko zrozumieć zechce jego znaczenie. Warsztat o którym mowa, jest prosto szkołą stolarską, nierozwiniętą jeszcze, ale taką w przyszłości stać się mogącą. Nie temu na zawadzie nie stoi, a prawo zachęca nawet do tego. Postanowienie k. namiestnika z r. 1816 względem urządzenia zgromadzeń rzemieślniczych w § 24 tak powiada: „Majster winien uczniowi dać sposobność nabycia wszelkich znajomości, które do porządnego prowadzenia rzemiosła są potrzebne.“ Dziś już sama praktyka nie może wykształcić na postępowego rzemieślnika. Dobry stolarz np. powinien zaznajomić się z fizyologią roślin, aby poznać naturę drzewa, jego twardość, barwę, ciężkość, moc, giętkość i t. p. Dobremu stolarzowi i chemia się przyda, przy dobięciu farb, politur i lakierów. Następnie i mechanika nie jest zbyt czerwoną, gdyż stolarz powinien znać i ocenić rozmaitego rodzaju narzędzia i maszyny, jak heblarnie, wiertarnie i wiele innych. Że zaś każdy stolarz jest jednocześnie i kupcem sprzedającym swe towary, powinien przeto obeznać się w ogóle z handlem, a w szczególe z handlem drzewa, materiałów surowych, wyrobów stolarskich, a także nieco i z prawem handlowym, z bankami, weksłami i t. d. Nakoniec, gdy porządek jest duszą wszystkiego, a porządek w interesach utrzymany być może tylko przez rachunkowość podług pewnych zasad prowadzoną, wynika z tego, że każdy rzemieślnik powinien obeznać się także z podstawami rachunkowości objętymi buchalterją. Oto szereg nauk, o których uczeń stolarski powinien nabrać dobrego wyobrażenia. Szkoły techniczne o to samo się starają.

Jeżeli więc, przy braku szkół technicznych, zjawia się nam warsztat wzorowy, który łączy teorię z praktyką i tylko zamiast szkoły technicznej, jest warsztatem technicznym — to obowiązkiem jest naszym zaznajomić publiczność z naturą takiego zakładu i zachęcić innych majstrów do tworzenia podobnego rodzaju warsztatów, za pomocą których zupełni niemal zupełnie próżni z powodu braku szkół technicznych wynikają, i kto wie nawet czy na tym nie wyjdą lepiej i nasza młodzież i nasze rzemiosło. Takie warsztaty wzorowe mogą się z łatwością rozwinąć i być nawet tańszymi od szkół technicznych — potrzeba tylko byśmy całą tę sprawę nie uważali za projekt, o którym gawędzić można, ale za fakt, który popierać winniśmy.

A. Makowiecki.

WIDOKI Z KARPAT.



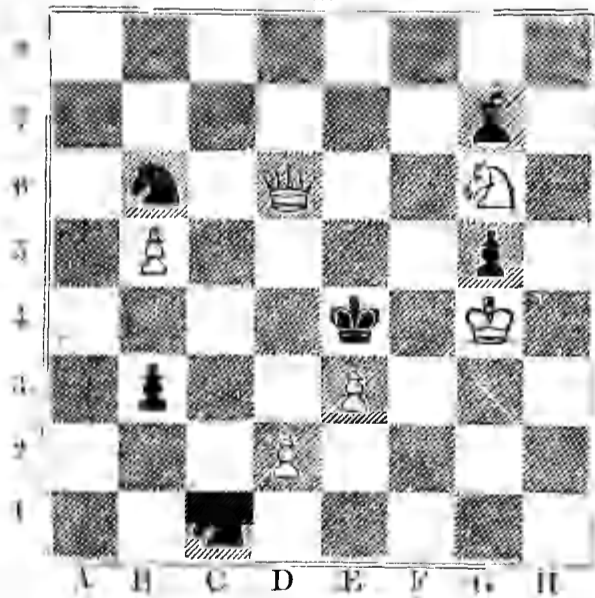
Droga do Morskiego oka pod Opalaniem (Podług fotografii Szuberta w Krakowie).

SZACHY.

ZADANIE CCXL.

Białe zaczynają i dają mata za 3-cm posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 239.

Białe.

- | | |
|-------------------|---------------------|
| 1) A5—C5 . . . | 1) E7—C5 biorą (A). |
| 2) A6—C4 biorą . | 2) D5—C4 biorą. |
| 3) C7—B5 † . . . | 3) C6—B5 biorą. |
| 4) C3—B5 † i mat. | |
-
- | | |
|-------------------|---------------------|
| 1) . . . | (A) 1) D4—C5 biorą. |
| 2) A6—A7 † . . . | 2) C5—D6. |
| 3) C7—B5 † . . . | 3) C6—B5 biorą. |
| 4) C3—B5 † i mat. | |

Wyszedł z druku zeszyt 17-ty „Encyklopedyi ogólnej wiedzy ludzkiej“ i jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wystawa warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

(Dokończenie.)

Pan Szermentowski ożywia wystawę w dziale jej krajobrazowym. Nadesłał nam dwa obrazy. W pierwszym otwiera się patrzącemu niewielka, ale pełna spokojnego, cichego uroku perspektywa. Stanowi ją aleja ogrodowa, z krzewów i drzew niskopiennych utworzona. Środek ten alei zaciemnia gęstwina roślinna, stanowiąc naturalną altanę, pełną tajemniczości i tego światłocienia, który w pewnych chwilach jest powabniejszą, bo uroczystszą, niż światło samo. Przebiegłszy to naturalne pokrycie, aleja ukazuje się znowu jaśniej w pewnym oddaleniu, kończąc się na oświetlonym tle obrazu. Na pierwszym zaś planie, pośród zieleni, nieco z boku owej alei albo uliczki ogrodowej, wznosi się posąg N. Panny, biały, spokojny macierzyńsko, pocieszająco. I ku niemu też posyła swe modły gromadka pobożna, chyląca się u stopni kamiennych, z pośród której kobieta unosi ku obliczu świętej opiekunki swe dziecko. Jak sercem i wyobraźnią p. Loefflera kieruje podniosłość i głębokość uczuć w dziedzinie czysto ludzkiego życia, tak znowu uczucia p. Szermentowskiego wyblaskują na tle natury. P. Szermentowski traktuje naturę, jak p. Loeffler życie ludzkie. Chciałby on każdy kamień, każdy listek memal opromienić urokiem duchowym i chciałby zmusić naturę do przemówienia pod jego pendzlem przez mile i sympatyczne postacie. Jak p. Loeffler bierze z życia towarzyskiego to, co mu najwybitniejsze dać może charakteru, tak p. Szermentowski szuka w milczących ogromach natury takiej formy

krajobrazu, takiej barwy, takiego zestawienia, któreby wyróżniały utwór jego pędzla jeżeli nie majestatem, to urokiem. Obrazek np. o którym

(Ob. dodatek.)

R E B U S.



Znaczenie rebusa umieszczanego w N-rze 264.
Dwa razy człowiek w życiu szaleje, raz w młodości,
a potem gdy posiwieje.

mówimy jest z dziedziny uroku, a tym go namaszcza powzięta z góry myśl artysty. Niema tu przypadkowości, nieokręśloności; krajobraz to pomysłany i wykonany odpowiednio.

Drugi krajobraz p. Szermentowskiego graniczy już z majestatem natury. Ponad wodą spokojną i czystą jak zwierciadło, w którą śmiałym wkrocza występem mały przylądek, ciemniej wspaniała grupa wyniosłych drzew, z potężnymi konarami olbrzymów roślinnych; pod tymi starcami o niepozitych koronach i pniach potężnych, zakłada swe panowanie cień ponury, pośród którego zdaje się przechodzić idealna ciszy postać. Ten sam cień, przed którym jednak przez luki między drzewami i w drzewach prześwieca światło dalszych planów, udziela się naturalnie i wodzie, którą przepływa człowiek na czółnie, jedyny twór ożywający ten ustęp. Nakoniec z prawej strony owęj grupy wielkodrzewu, zamglonemi już ale wyniosłemi, poważnemi i ogrom przypominającemi załamami, ciągnie się ściana jakiegoś boru, ponad którym przeciągają klebiące się obłoki posępnej barwy. Rzecz prawdziwie piękna, traktowana śmiało, z pewnością cechującą władanie swoim przedmiotem. Efekty, wytworzone przez podniosłość form natury, są w tym obrazie nadto żywe i mówiące, aby wymagania co do techniki nie wydały się pedantycznymi.

Dalęj mamy „Widok Oświęcimska“, pendzla p. Jaroszyńskiego. Plótno to znacznych rozmiarów. Na pierwszy rzut oka uderza w nię, że się tak wyrazimy, plamistość niektórych grup zieleności. Pochodzi to ztąd, że przedmioty drugiego planu traktowane są zaciemnio, w porównaniu z przejrzystością i lekkością planu pierwszego. Okolica zresztą sama, jakkolwiek w zieleność bogata, nie przedstawia ani dość poważnych, ani dość wdzięcznych żywiołów do utworzenia całości imponującej. Czasem bowiem jedna drzew kępa więcej nam powie, niż te nagromadzone w niezbyt estetyczne zbiorowisko masy zieleności. Na pierwszym planie, ponad wodą, w pół ukrytą szuwarem, stoją trzy drzewa iglaste, w jednym tonie trzymane; na planie drugim uderza oko drugi punkt wydatny — kępa drzew mocno, prawie czarno namalowanych, która krzyżący stanowi kontrast i zdaje się sama protestować przeciwko swoim barwom, tak jej jakoś niezręcznie wśród rozplywającej się zdala zieleni, która wreszcie niknie w zamgleniu. Okolica więc ta, jak ją obraz przedstawia, nie zatrzymuje patrzącego ani wydatną pięknością, ani częmiś jej właściwem, lubo w razach gdy przedmiot do oryginalnych nie należy, jedyna dla artysty ucieczka w świetności wykonania. Ale i tego niema w obecnym obrazie p. Jaroszyńskiego. Plan pierwszy dosyć wesoly, choć pospolity, w rażącej znajduje się sprzeczności z planem drugim, sucho i mdło traktowanym. Słowem obraz ten nie nosi na sobie śladów twórczości; a twórczością w pejzażach nazywamy pomyslowość i sztukę artysty w wybraniu punktu widzenia, w narzuceniu ogólnego tonu i wreszcie w zbliżeniu lub oddaleniu pewnych miejsc kulminacyjnych. Czasem zbliżenie przedmiotu czyni go imponującym, oddalenie — wdzięcznym.

Pan Malinowski dał dwa obrazy, przedstawiające okolice wsi Smarzewa w Płockiem. Przedmiotem jednego jest widok kościoła i okolicy wzięty z przed dworu smarzewskiego, przedmiotem drugiego dwór widziany od strony kościoła. Dwa te obrazy mało się różnią od siebie, pomimo niejednakowych szczegółów. Tu i tam drzewka i drzewa, drogi i dróżki, łączki i pola, płoty i zielone zarośla. Wykonanie piękne, pomimo łatwości staranne. Jestto żywa, przemawiająca swojskością panorama, usmięchająca się do mieszkańca murów i ciasnoty; wszędzie obraz wesoly, otwarty, jakkolwiek ręką ludzką wypieszczony. Krajobrazy te więc mogą być cenione, mile przyjmowane; ale kto chce widzieć w naturze szaty jej ubraniami w skarby, jakie słoneczność, gra światła i tysiące innych szczegółów, zawsze nanowo odkrywających się, stanowią, temu oba smarzewskie widoki nie wystarczą. Dodacby jeszcze wypadalo, że niebo jednego z nich, mianowicie widoku z kościołem, jakkolwiek nadzwyczaj bogate a nawet wspaniale świetną swoją draperją, dałoby się raczej zastosować do popołudniowej pory krajobrazów zimowych, tak mało w nię owych par ciemnych, przy-

bięrających pod naszą strefą, podczas pięknej pory lata, odcienie fioletowe, lub mglisto-różowe.

Trzeci zato obraz p. M., ostatnio nadesłany, z nazwą „Folwark Dotrzyma“, daleko pozostawia za sobą dwa poprzednie i wiele innych obrazów tego artysty. Gdzie natura krajobrazu nie przedstawia wielkości, trzeba czekać na chwilę, w której przez potęgę światła, grę żywiołów, słowem przez przyobleczenie się w nową szatę, miejscowość taka staje się przedmiotem wspaniałym. Taką właśnie wspaniałość wywiódł tym razem p. M. ze światła. Przedmiot sam z siebie dość zwykły, choć wdzięczny. W głębi dworek obywatelski; z prawej i lewej jego strony pełne zboża brogi; przestrzeń między jednym a drugim zajęta wracającym do obór bydłem, za którym idzie pasterz; przy brogu bliższym, na pierwszym planie, widać stojącą kobietę wiejską. Oto i treść cała; ale wszystko to kąpię się, tonię w światłach zachodzącego słońca, którego tarcza skryła się poza dworek, pozostawiając tylko naokoło zlociste i purpurowe ogromy obłoków. Od tego niebieskiego ognia nabiera wspaniałości i cały obraz. Zdaje się że chwytasz to złote, upajające rozkoszą powietrze. Życiodajne odbłaski kładą na wszystkiem pieczęć płonącego nieba. Jest w tym obrazie prawda, sztuka i powab niewysłowny. Niektórzy, dla samej już wielkości światła w obrazie, niekorzystnie go oceniają. Trudno sprzeczać się z nimi, ale też i sprzeczać się niewarto. P. Malinowski zwyciężył w tym swoim utworze niezwykle trudności, o które wielu rozbiło się malarzy. Jest to prawdziwy artysta; ponad swojską pospolitością, roztoczył prawdziwą wielkość natury, usmięch nieba w prawdziwym ukaza blasku. Dodawszy do tego dokładne, staranne i umiejętne malowanie, którym się zawsze odznaczał artysta, mamy w tym nowym jego obrazie dowód wybitny, że potrzeba tylko posiadać popędy żywsze, skalę ducha rozleglejszą, uczucia podnioslejsze, a wnet znajdują się żywioły, choćby je stwarzać trzeba było, do wydania na świat wspanialszego dzieła.

Pan Ruśkiewicz dał także dwa krajobrazy „Karcznię“ i „Porębę“. Artysta ten obrabia już oddawna na wszelkie sposoby lasy nasze. Udaje mu się niekiedy wydobyć z tej dziedziny barwy żywsze, widoki przypominające urok leśnego zacisza; nie możemy jednak nigdy dostrzedz w jego pracach znacznej wyższości nad fotografią. Nie wahamy się utrzymywać, że gdyby się do tego wziął inny artysta z dzielniejszym polotem, jego paprocie i dziewicze trawy leśnych ustroń więcej by do nas przemawiały, niż obszerne wnętrza lasów lub okolice przyłesne pana Ruśkiewicza. Oto i w „karcznię“ owęj prawda, sumiennosc i czystosc dadzą się zauważyć, ale nie więcej ponad tę cisłość zimną i suchą. Poręba również, przedstawiając część lasu z drzew ogolconą, ze sterczącymi tu i owdzie pozostawionymi drzewkami, nie posiada w sobie nic takiego, co by mogło oko patrzącego dłużej na sobie zatrzymać.

W „Zaciszu leśnym“ nie dorównał p. Brzozowski zwykłej mierze piękności swoich krajobrazów. Prawda że wykonanie prawdziwie artystyczne, a las sosnowy, który wystrzela ponad liściaste gęstwy u stóp jego się pnące, ma w sobie wiele powabów; doznajemy jednak, patrząc na całość tego krajobrazu, pewnego znudzenia, nawłókl go bowiem artysta na ten sam skelet, którego do górskich swoich pejzażów używa. Las, więc i gęstwy przyłesne, dzielą się na dwie części, przecięte, jak i w górach, koniecznym potokiem. Czyż tak utalentowany artysta nie może już znaleźć innych form krajobrazu do uwydatnienia piękności natury, którą tak rozumie?

P. Gumiński dał nam „Studjum w lesie“. Pod wielkiem sklepieniem z drzew bujnych, liściastych, usiadł sobie do pracy artysta i szczerze zajęty swoim przedmiotem, mało zważa na ponure postacie jakichś drabów o sękatych pałkach, którzy mu się przypatrują. Scena ta jednak jest tu podrzędna; głównem zadaniem krajobrazu jest widocznie wnętrze lasu. Obrazek ten nie należałby do utworów słabszych, półcień bowiem leśny utrzymany uniejętnie, gdyby nie gnębiły go: zbytnia, szczególnie na pierwszym planie zieleność i brak wszelkich zbroceń w gałęziach drzew, najbliżej widza stojących. Gałęzie te wyglądają, jakby winne latorośle na murach rozpięte, gdy tymczasem gałęzie, i to właśnie te,

które są zielenią pokryte, układają się do pewnego stopnia poziomo, a w każdym razie zajmować muszą przestrzeń w głąb i na poprzek, czyli mają raczej wymiary solidometryczne, a nie geometryczne, co prowadzi za sobą konieczność skróceń i perspektywy.

Mamy nareszcie dwa widoki Wilna i jego okolic, p. Marszewskiego. Jeden z nich przedstawia panoramę samego Wilna z góry Bułalowskiej, to jest z gliniastego lub piaszczystego wzgórza, pokrytego w części trawnikiem i zabudowaniami. Panorama bardzo uroczą. Trudno nam sądzić, czy z jakiego innego punktu widok ten ogólny miasta byłby więcej zajmującym, niepodobna jednak zaprzeczyć wdzięku temu bogatemu roztoczeniu murów, jakie nam przedstawił p. Marszewski. Jasne słońce świeci na całą przestrzeń, a mury owe bardzo żywo się odbijają.

Przedmiotem drugiego obrazu jest widok na góry Ponarskie, od strony Zakretu. Na przeczystem zwierciadle Wilni, odbijającej pogodnie, jasnijące niebo, widnieje najprzód kępa; z lewej strony pierwszego planu wznoszą się brzegi wysokie, usłane tu i owdzie zielenością; tło zaś stanowią góry Ponarskie. Ten szczególnie obraz uderza nas różnicą, jaka zachodzi między poprzednimi krajobrazami p. Marszewskiego, szczególnie z powodu światła, że tak powiemy, lejącego się z niebios. Przytęm widoczne w wykonaniu tych obu obrazów gorące zajęcie przedmiotem i wypieszczenie wszystkich szczegółów, chociaż zalety te, z powodu względnego ubóstwa krajobrazu w naturze, nie mogły daleko poprowadzić artysty, któremu widocznie szło o sumiennosc. W każdym razie oba obrazy dają do myślenia. Być może iż kiedykolwiek ujrzymy jaką pracę p. Marszewskiego, w której artysta, przy pomocy twórczości, zupełnie nowe sily nam wykaże.

Przejrawszy to sprawozdanie, czytelnik, któremu niepodobna własnem okiem ocenić wystawy, pomyśli może, z powodu obszerniejszej wzmianki o tylu utworach, że obecna wystawa warszawska wiele dzieł znakomitych posiada. Byłoby to złudzeniem. Przy niektórych obrazach brak wyższych własnie żywiołów, brak tych pomysłów i zarysów, które wielką sztukę stanowią, popychał sprawozdawcę do zapełnienia tej luki gorącemi życzeniami aby było lepiej. Może zresztą spotkamy się nieza długo z dziełem, które nas za dotychczasową posuchę wynagrodzi. Nadziei tracić niepodobna, gdyż jakkolwiek bądź, malarstwo nasze, pomimo niesłychanie skąpych środków miejscowych, braku wzorów do studyów i kształcenia smaku, rozwija się widocznie. W bliżej więc nadziei ujrzenia lepszych czasów naszej wystawy, zamykamy ten przegląd, wołając, jak na początku: dajcie nam wielkie dzieła, artyści!

Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego.

Lwów, w styczniu.

W tej chwili zajmuje tu w wysokim stopniu uwagę powszechną sprawa obsadzenia dwóch katedr przy uniwersytecie tutejszym, z powodu przeniesienia profesora fizyki doświadczalnej Hendla do akademii wojskowej w Wiedniu. Skutkiem usilnych zabiegów jednego z tutejszych profesorów uniwersytetu, postanowił minister oświecenia, obok pomienionj katedry fizyki doświadczalnej, ustanowić jeszcze drugą: fizyki matematycznej, którą wykładał niegdyś na uniwersytecie tutejszym, od r. 1850 do 1859, dr. Wojciech Urbański, autor *Fizyki umiejętnej* i wielu innych dzieł pomniejszych, chlubnie znany na polu naukowym, który przez lat czterdzieście był profesorem fizyki. Od czasu gdy się dr. Urbański usunął na posadę bibliotekarza, z wielkim załem słuchaczów i uszezerbkiem uniwersytetu, któremu ubył przez to jeden z najzdolniejszych profesorów, nikt już po nim nie wykładał fizyki matematycznej i uniwersytet lwowski posiadał jedynie katedrę fizyki doświadczalnej.

Co do obsadzenia obu pomienionych katedr, wydział akademicki, wezwany aby podał trzech kandy-

datów, przedstawił ministerstwu jako najwłaściwszych na katedrę fizyki matematycznej p. Władysława Gosiewskiego, a na katedrę fizyki doświadczalnej p. Tomasza Staneckiego, dotychczas owego nauczyciela w jednym z tutejszych gimnazyów. Propozycja ta stała się powodem żartliwej agitacji i sporów pomiędzy stronami popierającymi rozmaitych kandydatów, które to spory przeniosły się i na pole dziennikarskie, ubliżając po części samym spółubiegającym się kandydatom, przez niesprawiedliwe potępienie jednych, a przesadne wychwalanie drugich. I tak podczas gdy jeden z tutejszych dzienników przedstawia jako najzdolniejszego na profesora uniwersytetu dra. Fabiana, profesora szkoły realnej, który, jakkolwiek uzdolniony, nie dał się wszelako jeszcze poznać żadną obszerniejszą pracą naukową; to znowu drugi tutejszy dziennik, aby tamtego tém dosadniej potępić, nazywa p. Gosiewskiego *polskim Newtonem*, o p. Staneckim zaś powiada, że jest *fenomenalnie* zamilowany w pracy, a mianowanie go profesorem byłoby dla uniwersytetu *darem pierwszorzędnym*. Tak przesadnie sformułowanymi pochwałami, będącymi częścią frazeologią, ubliża się rzetelnej zasłudze tak samychże kandydatów, jak i innych ludzi nauki na témże polu pracujących, których, pomimo długoletniej pracy i zasług, przecież nikt Newtonami nie nazywa. Rzetelna zasługa nie potrzebuje bombastycznych przechwałek. Z rozpraw matematycznych i matematyczno-fizycznych p. osięwskiego wiemy, że jest znakomicie uzdolnionym matematykiem, a dra Staneckiego znamy jako dzielnego pedagoga i rzeczywiście bardzo pracowitego badacza na polu nauk przyrodniczych i matematycznych, który, mając zwłaszcza gabinet fizyczny do dyspozycji, stałby się dzielnym profesorem fizyki doświadczalnej i odpowiedziałby zupełnie swemu zadaniu. Z tych to powodów godzimy się na zdanie wydziału akademickiego i chętnie powitamy obu kandydatów profesorami uniwersytetu, w przekonaniu iż niepodobna uczynić lepszego wyboru, chociaż nie podzielamy przesady pochwał dziennikarskich. Katedrę filologii klasycznej objął już p. Z. Węclewski. Winniśmy wdzięczność Warszawie, że nam kilku już dostarczyła znakomitych profesorów.

W zeszłym miesiącu odbyła się uroczysta inauguracja nowourządzonej akademii technicznej i pierwszego jej rektora, którym na rok bieżący obrano p. Feliksa Strzeleckiego, profesora fizyki. Technika tutejsza w swém obecnym przeobrażeniu podniesioną została na stopę wyższych zakładów politechnicznych i składa się z czterech wydziałów, obejmujących cztery główne zawody techniczne, wraz ze szkołą handlową. Uroczystość inauguracyjna odbyła się w wielkiej sali zakładu im. Ossolińskich, a po stosownych przemowach namiestnika, marszałka kraju i nowego rektora, miał, jako najmłodszy z profesorów nowej akademii, prof. Zajączkowski, Warszawianin, mowę akademicką o znaczeniu i zadaniu nauk matematycznych, tudzież ich związku z innymi umiejętnościami. Mowa młodego profesora, odznaczająca się treściwością wykładu i jasnym a zdrowym poglądem, bardzo zajęła obecnych słuchaczy i natchnęła ich otuchą co do przyszłości nowej akademii, posiadającej tak zdolnych profesorów.

Wiadomość o śmierci Wincentego Pola została, jak wszędzie, tak i tutaj z powszechnym przyjętą żalem, a jakkolwiek jest to strata powszechna, Lwów przecież tém boleśniej ją czuje, że zmarły poeta uważał go za swe miasto rodzinne, tu znał część swęj młodości przepędził, tu nauki pobierał, tu miał najbliższą sercu rodzinę, tu pierwsze swe pieśni śpiewał i pierwsze dzieła drukował. Pamięć zmarłego została uczczoną egzekwiami w kościele o. dominikanów, urządzonemi z okazałością. Katafalk ozdobiony był biustem i portretem zmarłego, insygniami poety i żołnierza; *Requiem* odśpiewało Towarzystwo muzyczne, pod dyrekcją Mikulego, a książd Likendorf wrzucił do głębi serca słuchaczy kazaniem, w którym streszciał bieg życia i zasługi śpiewaka tradycyi przeszłości, po którym dziś nikt zapewne uronionego nie podniesie pióra.

Ale przejdźmy do innego przedmiotu, który otwiera nam pocieszające widoki pod względem przyszłości oświaty powszechnej, mianowicie elementarnego wychowania w Galicyi. Nowouchwa-

lona podczas ostatniego sejmku ustawa szkolna, jest tak ważnym wypadkiem na tém polu, iż niepodobna jej pominąć w przeglądzie tego co się tu u nas dzieje. Można powiedzieć iż pomieniona ustawa jest najważniejszym dziełem sejmku, najważniejszą uchwałą pomiędzy wszystkimi dotąd powziętymi. Niepodobna sobie bowiem wyobrazić coś bardziej oplakanego, jak dotychczasowy stan elementarnego wychowania w Galicyi. Są wprawdzie szkoły po wsiach, lecz tylko tam, gdzie je same gminy, z własnego popędu i własnym kosztem założyły. Ale że stopień oświaty ludności naszej jest w ogóle bardzo niski, więc też i niewiele gmin na szkoły się zdobyło. Przypięm uposażenie wszystkich tych zakładów jest w ogóle tak nędzne, iż zał się Boże pomysleć o losie wiejskich nauczycieli. Pobięrali oni dotąd u nas po 100 do 150 guldenów rocznie, a płacę tę, z której wyżyć niepodobna, musieli sobie jeszcze najczęściej sami po chatach, niby jałmużnę, wypraszać. Nowa ustawa zmienia z gruntu ten smutny stan rzeczy. Zaprowadza szkoły w całym kraju, w każdej gminie, wszędzie gdzie w okręgu półmilionowym znajduje się czterdzięścioro dzieci zdolnych do nauki, najniższą zaś płacę nauczycieli ustanawia na 300 guldenów, które pobięrać będą z kasy publicznej, utworzonej z funduszu szkolnych okręgowych. Na zebranie tych funduszy ustanawia ustawa podatek w wysokości 12% od podatków stałych, opłacanych przez mieszkańców gminy, a 4% od podatków dworskich. Jest to zapewne opłata dosyć wysoka, która się niejednemu wyda znacznym ciężarem; wszelako na rzecz oświaty niema zawielkich ofiar, opłacają się one zawsze hojnym plonem w uszlachetnieniu ludności, w postępie cywilizacji, a co za tém idzie, we wzroście dobrobytu powszechnego i pomyślności całego kraju. Podatek nowonależony, pomimo że jest dosyć znaczny, nie wystarczy jeszcze na pokrycie wydatków, co przewidując, ustawa postanawia, iż w takim razie niedobór funduszu okręgowego szkolnego, ma być uzupełniony z funduszy krajowych.

Pozostaje teraz już tylko trudność: z kąd wziąć na razie uzdolnionych nauczycieli, aby nimi zaopatrzyć tyle nowo założonych mających szkół w całym kraju? Siedem seminariów pedagogicznych może w najlepszym razie dostarczyć rocznie około stu nauczycieli i nauczycielek, należycie uosobionych, gdy tymczasem, według nowej ustawy, ma być w Galicyi przeszło pięć tysięcy szkół ludowych, z których większa połowa zostanie nanowo założoną i potrzebować będzie nauczycieli. Brak ich stanie się powodem, że zakładanie szkół będzie musiało postępować zwolna, pomimo nawet że rada szkolna krajowa zezwoliła, aby w braku nauczycieli, nauczycielki uczyły w początkowych szkółkach męzkich, podobnie jak to się dzieje w wielu miejscach w szkołach początkowych za granicą, gdzie nauczycielki, łagodnym obejściem i umiejętnością zniżenia się do pojęć dziecięcych, okazały się nawet sposobniejszymi do piastowania. posad nauczycielskich w szkółkach początkowych, aniżeli mężczyźni.

Obok tych spraw poważnych w sferach urzędowych, świat nasz towarzyski myśli i o zabawach, w obecnej zwłaszcza porze karnawałowej. Teatrowi naszemu w ogóle dobrze się wiedzie. W operze Kwiecińska zachwyca swym sympatycznym, pełnym wdzięku i dobrej szkoły śpiewem i jest ulubienicą publiczności; w dramacie pierwsze dziś miejsce zajmuje młodziczka Deryngówna, którą przed kilku laty widzieliśmy stawiającą pierwsze kroki na deskach sceny tutejszej, a której talent tak szybkie uczynił postępy, że dziś już, jako bohaterka tragiczna, może być każdej sceny ozdobą i chlubą. Jakoż scena lwowska niedługo zapewne będzie się mogła cieszyć posiadaniem tej artystki, gdyż zechce ona zapewne rozleglejszego dla talentu swego poszukać pola i dać się poznać na innych także scenach polskich. W ogóle słyhać o rozmaitych dosyć niekorzystnych dla sceny tutejszej zmianach w personelu artystycznym od Wielkiej nocy, jeżeli do tego czasu nie obejmie wreszcie steru sceny Towarzystwo akcyjne, którego zawiazanie się, z powodu przeszkód stawianych mu przez osoby interesowane, tak opieszale postępuje, iż stracono już wszelką ufność, aby kiedy rzeczywicie zorganizować się mogło.

Literatura naukowa zubożoną została ważnym dziełem. Wyszedł drugi tom *Pomników historycznych*, wydawanych przez Augusta Bielowskiego. Pod względem objętości tom ten o półtora raza większy jest od pierwszego, składa się bowiem z przeszło sześćdziesięciu arkuszy druku. Zawiera materiały historyczne, mianowicie bulle papieżkie i rozmaite listy, obejmujące okres czasu od początków XIII w. aż po wiek XV, wyjątki z Ortlieba i Bertolda, kroniki klasztoru zwifalskiego, kronikę Mierzwy, Wincentego Kadłubka, Boguchwała i Godzisława Paska, tudzież Jana z Czarnkowa, wreszcie szereg najstarszych roczników polskich. Każde z powyższych źródeł dziejowych poprzedzone jest krytycznym poglądem, zawierającym porównanie rozmaitych kodeksów rękopiśmiennych, z jakich druk został dokonany, tudzież inne uwagi, które dla objaśnienia rzeczy pod względem naukowym uczynić wypadało. Z tej strony uważane „*Pomniki*” są niezmiernie szacownym dziełem, którym sobie Bielowski istotny pomnik zasługi w piśmiennictwie historycznym postawił. Kronika Boguchwała i Godzisława Paska podana jest w opracowaniu Wacława Aleksandra Maciejewskiego, poprzedzona naukowym wstępem Bielowskiego. Kronikę Jana z Czarnkowa opracował, na wezwanie Bielowskiego, i krytycznym poprzedził rozbiorem jeszcze s. p. Jan Szlachetowski. Kronikę Mierzwy i Kadłubka, czyli mistrza Wincentego, jak go nazywa Bielowski, odrzucając nieuzasadnione, na błędnym wymawianiu oparte miano Kadłubka, opracowane są przez samego Bielowskiego. Roczniki polskie poprzedził wydawca wyjątkami, odnoszącymi się do dziejów polskich, z roczników hildesheimskich i kwedlinburskich, a wyjątki z kroniki Ortlieba i Bertolda, ogłasza według najnowszego krytycznego wydania Ottona Abła.

Zaledwo tak ważne dzieło wyszło na widok publiczny, oddano pod prasę inne, równie ważne, dra Wojciecha Urbańskiego: *Tom dodatkowy do fizyki umiejętnej*, wydanej przez tegoż autora przed kilku laty, nakładem Orgelbranda w Warszawie. Dzieło to wyjdzie w kilku zeszytach, które razem złożą tom, obejmujący kilkadziesiąt arkuszy druku. Stanowisko autora w świecie naukowym, na polu nauk matematyczno-fizycznych i przyrodniczych, tudzież liczne dawniejsze prace jego na tém polu, są rękojmią wartości dzieła zapowiedzianego. Pomimo tego autor zmuszony jest drukować je własnym nakładem, podobnie jak Bielowski swe *Pomniki historyczne*, bo już to taki los u nas dzieł naukowych, że niema na nich chętnych nakładców. Po ogłoszeniu przedpłaty na pomienione dzieło dra Urbańskiego, którego druk obecnie się rozpoczął, zgłosiło się dotychczas trzynastu prenumeratorów z Galicyi i w. ks. poznańskiego.

Księgarnia i antykwarnia synów Zelmana Iglą prowadzi nieprzerwanie wydawnictwo *Biblioteki teatralnej*. Obecnie wyszedł nowy zeszyt, zawierający tragedję w pięciu aktach Aurelego Urbańskiego, pod tyt. *Aktorka*, przedstawioną kilkakrotnie na scenie tutejszej.

MORITURI,

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH,

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— No—do tego jeszcze daleko może! rozśmiał się generał.

— Zwlekaczym nie chciał—jestem-bo stary, to darmo, metryka przypomina memento mori. Chciałbym już Roberta widzieć ożenionego, dobra sąsiednie okupione, dawną świetność domu przywrócić i umrzeć o mój ród spokojnym.

— Zapomniałeś o Stelli, musisz poczekać przynajmniej, póki jej za mąż nie wydamy—odezwał się Hugon.

— Zdaje mi się że z jej pięknoscią, imieniem— a no—i posagiem, mówił ojciec, nie będzie to trudnym, choć ja z mej strony muszę być wybrędnym. Lada komu jej nie dam! to anielska dziewczyna.

— Tak, ale kto tu ją na wsi zobaczy?

— O to się nie troszcz. Ja mam przecucie, że na weselu Roberta, na tém Podolu bogatym znajdzie się jakie tamtejsze książatko. Czwartwertyńskich jest dużo, a ludzie bardzo pięknie wychowani, choć niemajątni, no, i Swiatopelki. Stelli bym nie chciał wydać za prostego hrabiego lub bogatego szlachcica, chociaż w samym domu Zamojskich mamy tego przykłady. Ale zawsze Zamojscy, to Sariusze, szlachta dorobkowicze, nie innego tylko dobra szlachta!

Rozprawiali tak i byłiby nie wiem jak długo, puscivszy się na heraldykę, rozmawiać mogli, gdyby nie weszła księżniczka Stella, która ręce ojcu ucałować chciała. Stary zobaczywszy ją, uśmiechnął się i ze wzruszeniem pocałował w slichną główkę. Piękną-bo była, jak postacie w raju Fra-Angelica, rozpromienioną swém anielsstwem, a pełną wdzięku, jak młody kwiatek w poranku—pieszczona ojca dziecina, ukochana całego domu i nie zepsuta miłością, ale nią wyszlachetniona. Przybiegłszy do kolan starego ojca, schyliła się do nich i drżące ręce ujęła w białe dłonie. Generalowi, który stał z boku, lza się zakręciła pod powieką, coś mu jakby przecucie ścisnęło serce; nie mógł ustać w miejscu i przypomniałszy że swych zbroi nie pozawieszał, powrócił conajspieszniej na górę.

Wieczór był już dość późny i mrok coraz gęstszy, tak że dla poustawiania rozłożonego żelaztwa, trzeba było światło zapalić. Kroki jakieś ciche dawały się słyszeć w przedpokoju. Książę Hugon sądził że służący przynosi lampę i zawołał nań głośno, gdy wśród ciemności ktoś się zbliżył krokiem powolnym, ostrożnie. Poznać nadchodzącego było trudno, dopiero gdy przystąpił o kroków parę, general postrzegł w nim księcia Roberta i z podziwienią krzyknął, a rękawica żelazna na ziemię mu padła.

— Co to jest? wróciłeś? kiedy?

— Cicho, kochany stryju, na miłość Boża!—rzekł stłumionym głosem przybyły, chodźmy do gabinetu, musimy pomówić z sobą.

Niespodziane przybycie, ton jakim wyrazi te były wymówione, sama postawa Roberta i tajemnica którą się zdawał ukrywać, nad wszelki wyraz przeraziły generala; dorozumiewał się jakiegoś nieszczęścia, ale nie mógł przewidzieć co się stało. Weszli razem do gabinetu.

— Kiedy wróciłeś? dlaczego? jak? począł general, co to znaczy?

— Mówmy cicho—potrzeba się naradzić, ażeby ojcu nie uczynić przykrości, odezwał się ks. Robert. Powróciłem, bo nie miałem co robić w Warszawie. Koniec końcem, ani ja hrabiance, ani hrabianka mnie się nie podobała—musiałem zerwać.

— Jakto? ty? dlaczego? to coś nadzwyczajnego! mów mi prawdę!

— Hrabia znać musiał dowiedzieć się o stanie naszego majątku—dodał ks. Robert, dosyć że on pierwszy krok zrobił. Nie mogłem postąpić inaczej, musiałem z mej strony...

Stary padł na krzesło i pochwycił się za głowę.

— A wiesz ty do czego to prowadzi? zawołał.—Szambelan w błogiej nieświadomości nie domyśla się niczego, ale my, tak dobrze ty jak ja—wiemy że małżeństwo i posag były jedynym ratunkiem, inaczej... zginęliśmy.

— Winy z mej strony niema—rzekł sucho Robert.—Jakkolwiek, szczerze mówiąc, panna mi się wcale nie podobała i podobać nie mogła—zmuśzałem się do grzeczności. Kazaliście mi jechać, pojechałem, chodźcie z nimi posłuszny, a w końcu... w końcu mi dali odprawę.

— Hrabia? ale cóż mu się stać mogło? oszalał!

— Zląkł się ruiny, rzekł Robert. Rzecz jest spełniona—nie mamy co mówić o tém. Zdaje mi się że gdy kto raz odmówił Brańskiemu, nie możemy się z sobą napraszać, trzeba myśleć co powiemy ojcu. Ojciec musi się uczuć obrażonym; dotkniętym, rad-bym mu oszczędzić cierpienia i dlatego, nie pokazując się we dworze, przyszedłem do stryja na radę.

Książę Hugon słuchał jak ogłuszony, nie zdawał

się rozumieć wyrazów; zaszepiony to podnosił wzrok na Roberta, to go rozpaczliwie spuszczał na ziemię. Ale rada którą miał dać synowcowi nie przychodziła. Zbolaly, zwatpialy, czuł tylko własne zniekanie.

— Jeżeli stryj sądzisz że mniej zaboli ojca mój kaprys, niż odrzucenie starań moich przez hrabiego—powiemy mu że wina jest moja. Może lepiej by się gniewał na mnie chwilę, niż uczuł że nami tak ponuiać można. Dotknie go to i upokorzy.

— Ja nie nie wiem, z ciężkoscia ozwał się general—bądź co bądź, trzeba ojca twego oszczędzić, musimy skłamać. W jego wieku doznane nagłe upokorzenie, oburzenie, gniew, są groźne. Szambelan żył i żyje, dzięki Bogu, w błogim spokoju,—oszczędźmy mu, ile się to da, cierpienia. Powiedzieć mu całą prawdę odrazu, znaczyloby może go zabić. My, co żyjemy więcej z tym światem nowym, tak od starego odmiennym, wiemy że się po nim niezego pono spodziwać nie można—ale on—on! biedny, poczciwy Norbert!

Zalanawszy ręce, general chodził i wzdychał.

— Ty się tu długo ukryć nie możesz. Któs wypadkiem powie żeś przyjechał, szambelan się domyśli czegoś złego, może gorszego niż jest, to go może zabić. Trzeba natychmiast radzić.

I znowu przechadzał się zadumany.

— A no!—rzekł, zdaje mi się że to będzie jedyny sposób: Pan Bóg mi przebaczy pobożne kłamstwo moje. Pójdę i powiem mu, że ktoś wracający z Warszawy przywiózł mi wiadomość iż powracasz i posłuch że jakos z hrabią i hrabianką nie idzie, jakby Brańskiemu starającemu się o taką Mościńską isć powinno. Może go to trochę zmartwi, a jutro już ty oficjalnie przyjedziesz, no... i — opowiesz jak ci się będzie zdawało najlepiej. Dziś przenocuj u Gozdowskiego, żeby cię nikt tu nie widział, albo u Zenona.

To mówiąc, uściskał go ze łzami w oczach. W tejże chwili dal się słyszeć dzwonek, zwołujący na herbatę i wieszczę.

— Idź, żeby cię kto tu nie zastał—myśl co jutro powiesz; ja będę też głowę łamał—a jutro pojedziemy razem do starego.

Uściskali się w milczeniu.

— Ha, rzekł w duchu general, schodząc powoli—już teraz o ocaleniu nas mowy niema, idzie o to tylko, aby ruinę przeciagnąć, ażeby ją ukryć przed szambelanem. My, niedobitki, będziemy z godnoscia dźwigać nędzę naszą, ale ta biedna Stella, ten anioł, który...

W tej chwili wchodził do rzęsiście oświetlonego salonu. Jak na przekorę wszystko się w nim śmiało, jakby nikt nie przeczuwał jutra. Sparty na ramieniu córki, stary wchodził, uśmiechając się do niej, znowu rozweselony i z czołem bez chmury. Stella prowadziła ojca z czulością, z troskliwością poszanowania pełną, posadziła go na jego krzesle, złożyła mu pod nogi jego poduszke, przysunęła co zwykły był jadać wieczorem.

Antonina przybiegła jej pomódz, szambelan rozczulony opierał się tym zbytnim pieszczołom.

— Ale moje panny, moje panny kochane—mówił, śmiejąc się—ja bo nie chcę być tak starym, dam sobie radę; aż mi wstyd, że mnie tak dorlotujecie. Cóż to generala nie widać?

General spóźnił się był umyślnie; zato cały dwór pozostały był na swych miejscach, a do niego przyłączyli się młody Żurba i Gozdowski. Ks. Serafin odmawiał modlitewkę, złożywszy ręce; Wincentowicz się przeczegwał, spoglądając z ukosa na Burskiego, który tych praktyk religijnych w wojsku się oduczył, chociaż do kaplicy chodził regularnie.

— Cóż tam, księżę kapelanie, ryby mówią? spytał szambelan.

— Milezą, jasnie panie, rozśmiał się kapelan, nawykły do tego często powtarzającego się pytania; nawet raki się wyszeptaly—*silentium* jak u trapiistów.

— Ale połów asindzieja dzisiejszy? boś pewnie na ryby chodził? he?

— A jakże! muszę, inaczejby w piątek z mięsem gotowano, więc to obowiązek sumienia. Dziś tylko jeden szczupak niezgorszy, reszta plotki, parę linów i tyle.

— A pan Wincentowicz czém się pochwali?

— Jednym szarakiem, mości księżę—i to... kulawym—rzekł Wincentowicz, okazało się że mu ktoś nogę dawniej przestrzelił, że się bez lekarza wykurował i dziś padł ofiarą. Jakoś tego roku zwierzyło mało.

— Ale ba—szepnął szambelan, wszystkiego dobrego na świecie coraz mniej. Cóż pan kapitan Burski porabiał?

— A cóż, mości księżę, z kolei rzekł legionista, nie mam żadnej funkcyi na dworze waszej księżęcej mości, więc z założonemi rękami używam świeżego powietrza—jem i śpię, obserwuję tylko niebo i chmury.

— Wróży się pogoda?

— Niepewna, bo mnie coś po kosciach lamie, a to u mnie barometr najpewniejszy.

Szambelan zwykły tak był po monarszemu wszystkich u stole swego siedzących obchodzić pytaniami i darzyć słowem laskawem; był to niezmienny obyczaj w Brańsku. Obrócił się więc do Żurby.

— A pan doktor praw czy zdrow i co porabia?

— Dziekuje w. ks. mości—na zdrowiu mi nie zbywa, ani na ochocie do roboty—ale zajęcia nie mam. Ojciec mnie nie dopuszcza do pracy i robi za nas dwóch.

— O! czeigodnyż to ten twój dobry ojczysko! zawołał księżę—jak go długo nie widzę, to mi za jego poczciwą twarzą i sercem tęskno.

Odwrócił się do Gozdowskiego.

— Asindziej jezdziłeś pono kędys?

— Za interesami w. ks. mości; nigdy na nich nie zbywa.

— Spodziwam się że nie tak ważnego?

— Nie—tak ważnego—tak ważnego niema nie, spuszczając głowę odezwał się cicho plenipotent, ale trzeba się zawsze pilnować.

— Dobry wieczór kochanej pannie Maryannie, kiwając głową, dokończył wreszcie szambelan.

P. Maryanna przyszła go w ręce pocałować.

— Konfitury się pewnie smażą, bo to właśnie czas! rozśmiał się staruszek—powodzenia życzę! cha! cha!

Wtém wszedł i general, którego miejsce po pracy szambelana stało opróżnione, ale chmurny widocznie. Stary dostrzegł to zaraz i pochylił się ku niemu.

— Co ci to? spytał, mozesz list jaki odebrał, od Roberta czy od ks. sufragana.

— Nie—listu nie mam—bardzo cicho począł szeptać general, schylając się także ku bratu; ale przejeżdżający z Warszawy Parsnicki do mnie zawitał i miałem przez niego nienajlepsze wiadomości.

— W jakim względzie?

— Tyczące się konkurów Roberta.

— Cóżby się tam miało popsuc? he?

— Zdaje się—Parsnicki zwiastuje nam nawet bardzo rychły powrót księcia.

— Ależ nie zerwał przecie? nie może być!

— Zerwać nie zerwał—odezwał się general—on tam dobrze tych szczegółów nie wie—słyszał tylko że coś zaszło i że Robert powraca; snadź dlatego nie pisał. Jutro pewnie będzie.

Gospodarz, który pil, słuchając herbatę swoje, postawił filiżankę i popatrzył na brata.

— Tylko mi ty nie taj, generale. Wy macie ten nieszczęśliwy system, że obawiając się o mnie, kryjecie coś często przedemną. Ja nie jestem dziecko.

— To mówię co slyszalem, nie więcej nie wiem. Parsnicki powiada, że w stolicy strasznie się nasi hrabstwo wydaja parafiansko i śniśsznie, że to może Roberta zraziło. Nieprzyjemna w istocie rzecz, gdy ci się z narzeczonej śmieją, a powiem prawdę, Alfonsyna przy Angielec gustu nie nabrała, hrabia zaś nigdy go nie miał.

Szambelan sposepniał i milezał, drobił bulkę na obrusie zamysłony; nie odpowiadając nic, spojrzal na brata.

— Nie trzeba obwiniać ks. Roberta, on to bardzo dobrze rozumie, że księżna Brańska śmieszna być nie powinna. Gdyby królowną była a nie umiała się znaleźć, nie możnaby mu jej narzucać, boby się jej ciągle wstydzic musiał. Ale Parsnicki przesadza. Zaczny to obywatel, zda mi się wszakże iż chwycił nieco idei demokratycznych.

— Może—potwierdził generał.
 — Robert ma takt wielki. Zresztą zobaczymy gdy przyjedzie, jeśli prawda że wraca. A hrabia?
 — Ten podobno zostaje w Warszawie z córką.
 — No i rotmistrz może tylko dla pomówienia z nami przyjeżdża.
 — I to być może.
 — Zawsze do jutra będę cokolwiek niespokojnym.

— Ja także, mruknął generał—a ponieważ nie ma jednak czym się tak bardzo niepokoić, zostaw mnie troskę i śpij, nie myśląc o tym—ja za dwóch będę się gryzł.

Nie chcąc okazać że się czegoś niemiłego dowiedział, szambelan przybrał fizyognomią pogodną i począł znowu rozmowę ze swym dworem. Księżniczka Stella poznała tylko po twarzach stryja i ojca, że coś zająć musiało.

Nazajutrz rano po mszy świętej sekretarz przyśzedł z wiadomością do szambelana, że ks. Robert powrócił. Prawie w tej samej chwili księżniczka Stella, w kapelusiku jeszcze i z książką do nabożeństwa, wbiegła o jego przybyciu oznajmić. Szambelan posłał natychmiast aby go do siebie prosić, dodając żeby się nie przebięrał. Wedle zwyczaju ks. Robert winien był suknie podróżne zrzucić i prezentować się ojeu w rannym stroju domowym. Na ten raz uwolniano go od zachowywaną formy.

Pomimo że rozkazowi ojca jak mógł najprędzej starał się Robert zadość uczynić, staruszek chodził niespokojny, znajdując że nie przybywa dość prędko. Gdy się ukazał w progu i zbliżył do ręki ojcowskiej—szambelan obejrzał się dokoła, aby świadków nie mieli.

— Cóż to tak prędko z podróży? rzekł—he? tu do nas jakieś wieści doszły, nie wiem czy mam im dać wiarę. Zaszło coś?

— Stanowczego nie zaszło nic — odpowiedział Robert, usiłując się spokojnym okazać—lecz—po bliższym poznanii, zaczynam wątpić, ażeby to małżeństwo, którego kochany ojciec życzył sobie, a na które byłbym się zgodził chętnie, idąc za jego wolą, mogło przyjść do skutku.

— A to dlaczego?
 — Nie sądzę żebym mógł pozyskać szczerą sympatyą panny Alfonsyny, charaktery nasze niedosyć okazują się zgodne.

— A hrabia?
 — Hrabia, rzekł Robert — hrabia, zbyt ufny w swój ogromny majątek, zdaje mi się nadto wymagającym dziś, a cóżby dopiero było później. Radby sam wszystkim, więc zapewne i przyszlém życiem, kierować i rządzić.

— Parafianin? spytał książę—złego tonu?
 — Zapewne—ale z tą wadą możnaby się oswoić; gorzej że jest nieco absolutny i rubaszny.

— Ale—nie uchybił ci? niespokojnie spytał stary.
 — Bynajmniej—tylko codziem mniej dobrześmy się z sobą godzili, a w końcu zdawało mi się najwłaściwszém na jakiś czas odjechać.

Szambelan siadł zadumany, spuściwszy głowę.
 — Jakoś mi to mówisz, obwijając — niejasno. Czyś zerwał?

— Ja? nie.
 — A hrabia?
 — Niezupełnie—lecz... lecz być bardzo może, iż gdy mu się tam co innego trafi....

Szambelan porwał się z krzesła cały.
 — Co innego? cóż? co lepszego od księcia Brańskiego? ciekawym był! Może królówicz Golkondy, czy cesarzowicz brazylijski. Cóż lepszego? cha! cha!

Pomimo iż pozornie spokojnym chciał się okazać szambelan, na twarzy jego oburzenie i tłumiony gniew znać było.

— Jak skoro ty mi to mówisz, w zupełności wierzę, iż wina jest hrabiego. Żaden Brański z ręką swą, imieniem i majątkiem nie napraszał się nawet równej sobie, cóż dopiero takiej tam hrabiance. Zatem, to rzecz skończona, nieodwołalnie skończona, zerwana! Hrabia zapewne rozmyślił się—może chce wrócić—ale—ja nie pozwalam, ja nie chcę!

mowy już o związku z nimi być nie może. Dość, i o tem ani słowa!

Po krótkiej pauzie rzekł tonem rozkazującym, biorąc syna za rękę:

— Proszę cię, mój Robercie, wyręcz mnie w tem i powiedz generałowi, Stelli, wszystkim naszym, aby tu więcej nigdy mowy o hrabi i hrabiance nie było. Proszę o to—nie istnieją już dla nas—nie znamy się—i... koniec. Ani wspomnienia, ani słowa o nich. Do ks. sufragana napisz też, aby przybywszy tu, oszczędził mi przykrości i nie mówił o nich.

Skończył i siadł szambelan. Ks. Robert złożył przed nim na stole powierzone sobie tysiąc dukatów, a rozmowa w tejże chwili zwróciła się na Warszawę, na przyzodobienia w niej zaszłe i zmiany—na wypadki społeczne, na dawnych księcia znajomych.

O godzinie zwykłej sekretarz wszedł, a Robert, rad że mu się udało małym stosunkowo kosztem wytłumaczyć, powlókł się biędny do siebie. Nie dano mu wszakże dojść, bo z jednej strony Stella z Antoniną, z drugiej generał czatowali na niego. Osobliwie kobiety ciekawe były, co mogło tak prędko zwrócić Roberta, a na twarzy panny Żurbianki, zwykle ożywionej, malowała się ciekawość, radość, uciecha jakaś niewytłumaczona, dziecinna, której wybuchy ledwie Stella pohamować mogła.

— Jaka—bo ty dziś jesteś osobliwie wesola odezwała się księżniczka, powiedziałaby kto, że się cieszysz z tego, iż biędny Robert podobno z grochowym wiankiem powrócił.

— Ja? krzyknęła Antonina—ja? a cóż mnie do tego? Ja się cieszę że powrócił—a księżniczka nie?

— Ja cieszę się że powrócił ale nie mogę tego pojąć, że się znalazła kobieta która go—nie chciała.

— A może on jej nie chciał? spytała Antonina. Daruj mi, droga Stello, ja taka jestem prosta sobie szlachcianeczka, że nie mogę, myśląc coś, całej swjej myśli nie wypowiedzieć. Wystawiała—żeś sobie hrabiankę Alfonsynę księżną Robertową? Byłaż ona stworzona na nią? Jam nigdy przypuścić nie mogła, aby ta ubrylantowana złota laleczka...

— Jaka ty jesteś złośliwa, ja nie chcę słuchać tego! zawołała Stella, ja ją przez przyzmat serca widziałam, przez miłość moją dla Roberta, rozwijającą się z tych obsłonek, twardych trochę, i na słicznego wyrastającą motyla.

— Stello, najdroższa moja pani, na motyla! zanosząc się od śmiechu wołała Antonina, chyba na cmentarz.
 — Doprawdy ja się ciebie aż boję, taka zła być umiesz.

— Pozwól mi nią być tylko dla niej.
 — Ale dlaczego?
 — Bo książę Robert wart jest przecie czegoś idealniejszego nad nią, serca gorętszego, coby go kochać umiało i...

Zamilkła nagle, bo Robert nadchodził właśnie, a generał gonił za nim. Na smutnej twarzy księcia znać było wrażenia podróży.

— Wracasz więc nam—biegnąc go uściskać, odezwała się Stella. Nie potrzebuję mówić jak jesteśmy ci radzi... i jak ciekawi...

— O, ciekawi bardzo! dodała Antonina.
 Książę spojrział z uśmiechem.

— Nie będę miał czym ciekawości zaspokoić, bo nie przywożę nic, nad wątpliwość i mgliste domysły.

— Alfonsyna?... podchwyciła Stella.
 — Bawi się, uczy śpiewać, bywa w teatrze i stroi się.

— Czy piękniej jak tu u nas? szepnęła złośliwie Antonina.

Robert zmilczał. Stella nie pytała, patrzyła mu tylko w oczy, jakby z nich coś chciała wyczytać, a widziała w nich tylko smutek, który walczył z sobą, aby się nie pokazać ludziom.

— Myślisz powrócić do Warszawy? odezwała się cicho siostra.

— Bardzo, jak na teraz, wątpię—równie zniżonym głosem odpowiedział brat.

To jedno starczyło; księżniczka nie sądziła właściwem rozpytywać go więcej. Generał odciągał go już na bok, niecierpliwy.

— Chodź ze mną, mamy do pomówienia, przejdziemy się po ogrodzie.

Nadchodził też pan Zenon z powitaniem niby,

choć wczoraj już u Gozdowskiego z Robertem mówił i więcej trochę wiedział niż inni. Panny z żalem i zawiedzioną nieco ciekawością usunęły się, wracając do swych pokojów — mężczyźni zostali sami.

— Muszę najprzód prosić generała—zagaił Robert, abys mnie powagą swą w spełnieniu woli ojca wyręczył. Szambelan czuje się obrażonym za mnie, wydał więc rozkaz, aby o hrabi i hrabiance więcej u nas mowy nie było i wspomnienia.

— Bardzo to uczułeś? czy się zarumieniłeś, czy pobladł? rzekł książę Hugon. Jeśli się zaczerwieniłeś, przejdzie, jeśli zbladł, to odchoruje.

— Nie zdaje mi się, żeby to tak bardzo wziął do serca.

— A ty? spytał generał.

Na to pytanie, którego nie dosłyszał może młody książę—nie było odpowiedzi.

Pomimo ślepoty zacnego Gozdowskiego, którego długie lata spokoju napełniły tem przekonaniem, iż książęcemu domowi nie się nigdy stać nie może, że wierzyście nie będą mieli odwagi zaczepić Brańskich, że opinia publiczna potępiłaby tych, coby śmieli targnąć się na tak zasłużoną krajowi rodzinę, od niejakiego czasu plenipotentowi z pomocą pana Zenona otwierały się oczy—strach go ogarniał.

— U tych ludzi teraz niema nic świętego! powtarzał Żurbię—gotowi się rzucić na nas.

Dlatego, odwracając niebezpieczeństwo, Gozdowski użył stu tysięcy chwyconych u dzierżawcy na jaknajprędzszy spłat zaległych procentów. Zdawało mu się iż to zaspokozi na jakiś czas wierzyście i da środki ratunku obmyśleć. Do nich najpierw należało ożenie ks. Roberta. Gozdowski wiedział już iż na nie wcale rachować nie można, a o drugą milionową dziedziczkę nie tak było łatwo. Nie chcąc dalszych kroków w tak niebezpiecznym składzie okoliczności brać na siebie, szanowny plenipotent postanowił, zawsze nie nie mówiąc szambelanowi, złożyć rodzaj rady, powołując do niej ks. sufragana, generała, ks. Roberta, a jako doradcę prawnego młodego Żurbę. Wysłano więc wezwanie do ks. biskupa, prosząc tylko żeby przybyciu swemu nadał pozor inny i bratu nie nie wspominał. Zenon tymczasem zabrał papiery, miał ułożyć bilans i zapowiedział wahającemu się Gozdowskiemu, iż ściśle wejrzysz w najdrobniejsze szczegóły, gdyż złudzenia w interesach uważa za największe niebezpieczeństwo. Gozdowski, który nigdy głębiej nie wglądał i ściśle się nie obrachowywał, nawykły do marzenia i okłamywania się dobrowolnego, lękał się rachunków Żurby—lecz nie można ich było unikać. P. Zenon na kilka dni zamknął się w domu.

Na list generała, biskup odpowiedział obietnicą przybycia niezwłocznie—rad był też z ust synowca dowiedzieć się czegoś o hrabi i hrabiance. Oznajmiono szambelanowi przybycie brata, wyporzadzono pokój na jego przyjęcie, ks. Serafin, który chodził w przeszarzanym habicie, włożył nowy i wystąpił ze świeżemi paskami. Ze zwykłą ceremonią przyjęto jego ekscelencyą w ganku i wszyscy ucałowali ręce biskupa, który cichutkim głosem błogosławił. Generał odprowadził go do przeznaczonych mu pokojów, tych które zawsze zwykł był zajmować. Wieczorem długa była narada ze starym szambelanem i cicha rozmowa o hrabi, bo do ks. biskupa rozkaz wydany się nie rozciągał. Nazajutrz w dworku Gozdowskiego potajemnie mieli się zgromadzić wszyscy w ranną godzinę.

Już w wigilię pan Zenon z papierami był gotów. Gozdowski usiłował go badać wzrokiem i zaczął słowy, nie dobył z niego wszakże nic nad to, że interesu są w jaknajgorszym stanie.

— Nie masz pan tego na sumieniu, dodał Zenon, pocieszając strwożonego; gdyby otwarcie i śmiało postępować było można, byłbys pan mógł coś zrobić; tu, gdzie milczeć kazano, a słuchać nie chciano i rachowano zawsze na niespodziewaną interwencją Opatrzności—pan nie mogłeś nic.

(Dalszy ciąg nastąpi).